№ 37. Warszawa, dnia 11 Września (30 Sierpnia) 1886 r. Rok VI.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: **Złota Nr. 23.**

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

Jak to już dawniej zaznaczyliśmy, zapomocą kwartalnych dodatków do *Prawdy* staramy się zaopatrzyć naszych abonentów w dzieła naukowe, które by służyły za podręczniki do poznania różnych działów wiedzy. Wydaliśmy dotąd *Główne prądy literatury XIX w.* J. Brandesa, *Ekonomię polityczną* — pracę zbiorową slynnych badaczów niemieckich, wreszcie *Logikę* J. Liarda; z kolei teraz otworzymy dziedzinę socyologii. Zanim nakładem naszym wyjdzie gienialna książka Morgana (*Pierwotne społeczeństwo*), od bieżącego kwartału rozpoczniemy w dodatku kwartalnym druk cennego dzieła Espinasa *Społeczeństwa zwierzęce*, w przekładzie J. K. Potockiego, gdzie mieści się historyczny przegląd główniejszych teoryj socyologicznych. Skoro czytelnik naprzód pozna ten obraz poglądów, później — ustrój życia zbiorowego zwierząt, następnie—organizacyę ludów pierwotnych, najgruntowniej i bez trudu zrozumie stopniowy rozwój wiązań i stosunków społecznych oraz ich postać obecną w cywilizacyi. Praca Espinasa, obok umiejętnego wykładu, zaleca się wdziękiem i jasnością formy, oraz doborem wymownych a ciekawych faktów i przykładów.

Z powodu nadchodzącego nowego kwartału prosimy szan. abonentów o wczesne odnowienie przedpłaty.

POLITYKA.

SFINKSOWA ZAGADKA.

Bułgarya nie przestaje dostarczać Europie niespodzianek, przez nikogo nieprzewidywanych. Już nawet najpochopniejsi do proroctw dziennikarze zrzekli się przywileju i rozrywki bezkarnego wróżenia, wyznając, że nawet względem jutra nie śmią stawiać żadnych przepowiedni, gdyż rzeczywistość wszystkim kłam zadaje. Po zamachu Cankowa i towarzyszów, uważano ks. Aleksandra za „pogrzebanego," a gazety, najmocniej ucieszone jego upadkiem, obiecywały sobie, że już o tym „mizernym komedyancie" nigdy mówić nie będą. W kilka dni rząd spiskowy runął, na jego karkach dźwignęły się aż dwa „tymczasowe," a „mizerny emigrant," który jechał już do ojca dla rozpamiętywania z nim „miłych wspomnień," nagłym obrotem wypadków został wezwany do kraju i wrócił tam, skąd go zaledwie wygnano. Nie dość na tem, w chwili gdy zdawało się, że go te wypadki odrzuciły na najdalszą odległość od Rosyi, on przed nią ukląkł kornie, a gdy znowu sądzono, że uzyskał przebaczenie, otrzymał ostrą naganę. Ani jedno z tych zdarzeń nie leżało w logice rzeczy i przez nikogo nie było wyliczonem, nic więc dziwnego, że zawiedziona tylokrotnie prasa zrzekła się domyślności. Do jakiego stopnia fakty następowały wbrew wszelkim rachubom, najwymowniej podobno przekonywa niebywały objaw zwątpienia o mądrości i jasnowidzeniu wyroczni europejskiej — ks. Bismarka. Nawet dzienniki niemieckie, a między nimi także pozostające w służbie rządowej, ze smutkiem wyznały, że i wszechwładny kanclerz omylił się, że „rzeczy poszły całkiem inną koleją, niż przewidywał" — on, o którym głoszono, że w Europie wróbel nie spadnie z dachu bez jego woli i wiedzy. Od piętnastu lat nie zaszedł taki wypadek, kwestyonujący nieomylność papieża dyplomacyi, po raz pierwszy od czcicieli swoich usłyszał on surową krytykę za politykę zagraniczną. Bo oprócz przerachowania się w planach, wytknięto mu niezgodę z kierunkiem opinii narodu, który stanowczo oświadczył się za Battenbergiem. Jako wewnętrzny gospodarz państwa Bismark miał ciągle wielu przeciwników i wrogów, ale jako minister spraw zewnętrznych używał tylko nieograniczonej czci, podziwu i bałwochwalstwa. Naraz Achilles odkrył swą piętę na tem właśnie polu, przy poświęcaniu na ofiarę marnego bułgarskiego książątka. Zaiste, można wierzyć w fatalizm, przywiązany do pewnych ludzi i rzeczy: młody, skromny, niedoświadczony człowieczek, jak ów Aleksander, podstawia nogę starym, wytrawnym i przebiegłym dyplomatom, którzy się na niej potykają lub przewracają.

Jest też zupełnie naturalnem, że zwraca on na siebie uwagę całego świata i budzi w nim wielkie zaciekawienie. Jeżeli Bismark nie zgadł, tem bardziej wszyscy zgadywać muszą, jaki los czeka ks. Aleksandra. Zdaje nam się, po odpowiedzi rosyjskiej na jego skruchę, że w powieści jego życia oddział „miłych wspomnień" już się skończył. Dopóki ks. Battenberg trwał w oporze Rosyi a jej stronników pokonywał przeciwstawianiem ich zamiarom interesów kraju, mógł próbować walki; ale teraz gdy sam przyznał, że owa Rosya była dobrodziejką jego narodu, że ma prawo do jego miłości, że od niej otrzymał koronę, którą każdej chwili w ręce swej pani gotów złożyć, gdy nadto ona stanowczo wyraża mu swą niechęć i niełaskę — na czem on teraz się oprze? Jakże będzie mógł iść po dotychczasowej drodze, jeśli mu ją zastąpi tak dobrze Karawełow,

jak Cankow, i powie: czemu oddalasz się od Rosyi, kiedyś sam ją uznał za naszą i swoją opiekunkę i przyjaciółkę: kiedy kłamałeś, wówczas czy teraz? Miał on przed sobą tylko dwa wyjścia: albo porzucić dawną politykę i zostać wasalem Rosyi, albo zrzec się tronu. *Hic Rhodus, hic salta* — trzeciej możliwości nie widzimy, ponieważ zaś nie sądzimy, ażeby mimo poddańczego hołdu, rozstał się z poprzedniemi wrażeniami i przyjął służbę, z której uciekł, ponieważ między możnymi tego świata nie ma on ani jednego protektora, zatem nieodwołalnie musi ustąpić z własnej lub cudzej woli *).

Tym sposobem kwestya bułgarska, jako splot różnostronnych i przeciwnych sobie interesów pozostaje znowu otwartą. Czy taki jej stan jest pożądanym, czy nie, zależy to od uczestnictwa w jej powikłaniach. Jedni pragnęliby, ażeby ona została rozwiązana w duchu obecnego ustosunkowania się wpływów i sił na półwyspie Bałkańskim; inni znowu chcą, ażeby ta rana pozostała niezagojoną dopóty, póki sama nie zabliźni się mocą naturalnego procesu. O ks. Aleksandra wcale tu nie idzie, chociaż on dziś zcśrodkowywa na sobie uwagę ogólną; chodzi przedewszystkiem i wyłącznie o to, czy Bułgarya pozostanie Bułgaryą, czy też prowincyą jakiegoś mocarstwa. Innemi słowy: punkt ciężkości spoczywa w pytaniu: czy rozwój różniczkowania się i całkowania ludów na półwyspie Bałkańskim pójdzie dalej, czy też ustąpi miejsca rozwojowi wchłaniania organizmów mniejszych przez większe. Ta jedynie zagadka ma wagę dla Europy, a zwłaszcza dla Słowiańszczyzny; Battenberg zaś, jak każdy inny, posiada tylko znaczenie drobnego czynnika, który owym przekształceniom sprzyja lub przeszkadza. Obecne zajęcie się księciem Bułgaryi płynie ze źródła romantycznego, nie politycznego, które tkwi w międzypańsstwowym układzie Europy i które wytwarza przyszłość. Każdy widzi, że dzięki stłumieniu dążności i unieważnieniu zasad narodowościowych a usunięciu dyplomatycznych, proces naturalnego i swobodnego kształtowania się drobnych ustrojów etnologicznych na południo-wschodzie jest ciągle tamowany. Ani wierzyć bezwzględnie w jego siłę, ani wątpić o niej nie możemy. Na półwyspie Bałkańskim legł Sfinks, który Europie powtarza zagadkę, dotąd przez nikogo nie rozwiązaną.

*) Już to uczynił.

POLITYKA SZLACHECKA.

Patrząc na stosunki polsko-niemieckie w Prusach, w jednakowej mierze oburzeniem naszem obdzielać musimy obie strony walczące. Kiedy z jednej strony przemoc niemiecka, powtarzając *sic volo, sic jubeo*, występuje do walki w pełnym rynsztunku, nie zaniedbuje najdrobniejszych szczegółów, nie zapomina o najmniej znacznej na pozór okoliczności — z drugiej widzimy haniebną niezaradność, która zacząwszy od skarg płaczliwych, przechodzi całą skalę poniżenia i kończy się nikczemnem zaprzańtswem. Obywatele ziemscy polacy sami ofiarują ziemie swe dla celów kolonizacyjnych, dzisiaj są to jeszcze wyjątki, podłość nieśmiało stawia pierwsze kroki, ale nabierze odwagi wobec obojętności lub, co gorsza, pobłażliwość opinii publicznej, która dziś już oświadcza, że „nie można dziwić się doprowadzonym do ostateczności biedakom.“ Gdyby nawet przyjąć tę wymówkę i zgodzić się, że są to smutne wyjątki, nie można usprawiedliwić niezaradności przewodników inteligencyi w Poznańskiem, którzy przeciw nadciągającej burzy, grożącej zagładą żywiołowi polskiemu, stawią jedynie szereg dziecinnych, powiedziałbym nawet humorystycznych projektów, jeżeli przymiotnik ten można zestawić z faktem tak smutnym.

Pomijając już praktyczną stronę tych niedołężnych projektów, która mogłaby uledz zmianie, zwrócić trzeba uwagę na to, że wszystkie one, czy na miejscu wymyślone, czy też opatrzone „światłemi uwagami“ warszawskich doradców, jeden mają cel, jedną troskę — zachowanie własności wielkiej w rękach polskich. Dzisiaj w całej Europie większa własność ziemska obdłużona jest nad miarę i grozi jej nieuniknione bankructwo. Poznańskie nie stanowi chyba pod tym względem raju. Czyż więc jakieś liche banki i drobne spółki zdołają zapobiedz następstwom, dla odwrócenia których gdzieindziej uznano za potrzebne zgromadzić cały arsenał różnorodnych środków państwowych, wobec zaś trudności i ogromu zadania nie odważono się nigdzie jeszcze na próby praktyczne? Gdyby nawet banki te i spółki doszły do skutku, zmarnują one pieniądze, liczba zaś „doprowadzonych do ostateczności biedaków,“ ofiarujących swe majątki komisyi kolonizacyjnej, zwiększać się musi. Nietylko przecie polacy właściciele ziemscy bankrutują, los ich dzielą i niemcy, chociaż może nie w takim stopniu. I ks. Bismark nie myśli bynajmniej o ratowaniu ich, owszem rząd pruski nabywa dla parcelacyi także i majątki niemieckie.

Zdaje się, że najprostszą, najwłaściwszą, jedyną nawet taktyką odporną jest odbijać ciosy i osłaniać to, czemu przeciwnik grozi. Jaki cel mają projekty pruskie — w odpowiedzi trudno się chyba mylić. Przedewszystkiem chodzi im nie o zmianę stosunku własności polskiej do niemieckiej, ale o zmianę stosunku narodowości. Większa własność polska stopniowo i stale wciąż przechodziła w ręce niemieckie. W obwodzie poznańskim zajmowała ona niedawno 497,900 hektarów, w bydgoskim 220,000, niemiecka zaś 531.500 i 422,800, dzięki zaś tylko temu, że włościanie silniej trzymali ziemię, wogóle własność ziemska polska równała się niemieckiej. Każdy rok uszczuplał ją wszakże o kilkanaście lub kilkadziesiąt tysięcy hektarów, niemcy więc, którym cierpliwości nie brak, zaczekaliby chętnie, gdyby tylko o ziemię polską chodziło. Mówcy i publicyści rządowi przytaczali inne argumenty, oparte na cyfrach, którym musimy wierzyć. Cyfry te świadczą, że w ostatniem dziesięcioleciu ludność polska powiększyła się daleko silniej, aniżeli niemiecka. W Poznańskiem ludność ewangelicka z 511,429 w r. 1870, wzrosła tylko do 526,619 w r. 1880, katolicka w tym czasie z 1,009,885 doszła do 1,111,962. W Prusach zachodnich w 1870 r. protestanci liczyli 3,000 głów więcej od katolików, po 10 latach katolicy mieli więcej o 27,000. Po przyłączeniu do Prus mało zaludnionych prowincyj polskich, wskutek napływu kolonistów, ludność niemiecka wzrastała i wynosi dzisiaj około 40% w Poznańskiem i przeszło 50% w Prusach zachodnich, w ostatnich jednak latach stosunki zmieniły się i uledz musiałyby donioślejszym jeszcze przeobrażeniom, ponieważ niemcy wysyłają stosunkowo więcej emigrantów niż polacy i ci ostatni mnożą się prędzej. Chcąc zapobiedz tej niepożądanej zmianie, rząd pruski przedsięwziął

---

1)

RYTMY.

Okiem na świat spoglądając, widzę, co nagie, a co szatą okryte; ręką dotykając świata, czuję, co ciepłe, a co zimne.

Nie żądajcie, ażebym o rzeczach nagich opowiadał: szata je okrywa; a o rzeczach ciepłych: zimnemi są.

Przyroda wytworzyła nagość, przyroda okrycie; z przyrody ciepło płynie, z przyrody wieje zimno.

Sam przyrodą jestem, głos, co z mej piersi się wydobywa, płynie z przyrody głębi; przyroda tworzy, ja zaś śpiewam o jej tworach.

Odwróćcie się ludzie, przenoszący okrycie po nad ciało; wy, co jako ryby zimne, w zimnie się lubujecie, odwróćcie się!

Nagim i ciepłym przyroda rodzi człowieka; nagą i ciepłą pieśń moja wyłania się z piersi mej.

Sławny i szczęśliwy człowiek, co pięknie śpiewa; królowie mu hołdują, a narody skarby dlań znoszą.

Nieznany i nieszczęśliwy zaś ten, co pięknie tworzy; potężni nie oglądają się nań, a ludy giną mu pozwalają.

Ptaka naśladując, pierwszy buja po świecie, rozkoszując się wonią kwiatów wszelakich i pijąc rosę z kielichów ich; drugi zaś, naśladując bóstwo tworzące, pracuje znojnie, i jako wyrobnik umiera z motyką w ręku.

Atoli blask śpiewaka ginie wraz z oddechem piersi jego; któż bowiem wspomina kanarka zmarłego?

Ów zaś, co tworzył, pozostał w pomnikach swych; nie zaginie on, póki wytrwa spiż pomników jego.

Do owego, co śpiewał, należały chwile; do tego zaś, co tworzył, wieki należą.

Jako skazaniec na pręgierzu, śpiewak, do słupa przykuty, na otwartem stoi miejscu;

Nad nim gromnica się żarzy, mówiąc: umierać będzie!

Dziad pobożny, przechodząc, kijem go uderzy; stare baby z przestrachem plwają przed nim.

Błaznom wolno z niego żarty stroić;

Osłom nie bronią uderzyć go kopytem.

Tłum zaś, otoczywszy go, oczy nań wytrzeszcza, oglądając go z ciekawością wielką.

Atoli skazaniec ciało tylko wystawia na widowisko; śpiewak zaś duszę swą.

U skazańca tylko członek każdy tłum oglądać może; u śpiewaka zaś myśl każdą i uczucie każde.

Skazaniec umiera rychło, ostrzem miecza ugodzony; śpiewak zaś ginie powolnie, krew swą uraniając kroplami.

Miłość poety.

Nieśmiertelność tkwi w uścisku ramion moich;

Miłość moja zdejmuje z ciebie klątwę zgonu.

Imię twoje skoro usty memi wypowiem, brzmieć będzie w powietrzu, jako struna wiecznie brzmiąca;

Wiecznie młoda i piękna wiecznie pójdziesz drogą stuleci, czarując przyszłe pokolenia, jakeś mnie czarowała.

Kochaj mnie miłością życia ludzkiego, ja ciebie kochać będę miłością wieków.

Ecce mulier.

Piękna jesteś, dobra i prawdziwa, jako myśl mędrca, co prześcignęła przyrodę;

cały szereg środków, które stosuje z żelazną konsekwencyą. Łatwo byłoby niemcom wykupić większą własność polską, ale rozumieją oni dobrze, że to do niczego nie doprowadzi, cały więc fundusz stomilionowy przeznaczono na kolonizacyę. Wypędzenie obcych poddanych, przenoszenie urzędników polaków — to tylko środki pomocnicze. Rząd pruski nie łudzi się bynajmniej, że dopnie całkowicie swego celu w bliskiej przyszłości, przedewszystkiem ma on na widoku zmianę stosunków politycznych, stara się więc pomnożyć liczbę wyborców do sejmu i dla tego dzieli kupione majątki na parcele takiej wielkości, ażeby właściciele ich mieli prawo samodzielnego głosu. W ten sposób dziś już zapewniony jest wybór niemca w powiecie krobskim, nowy zaś podział administracyjny prowincyj polskich w związku z wzrastającą kolonizacyą wkrótce sprawi to, że liczba posłów naszych zmaleje do połowy. Wtedy nawet łudzenie się obroną parlamentarną ustać musi — tylko że ustanie zapóźno.

Zamiarom tym, obmyślanym jasno i wprowadzonym w życie energicznie, bez wahań i ustępstw, inteligencya polska przeciwstawia jakieś mętne projekty „obrony ziemi,“ jakieś spółki ziemiańskie, które mają kupować na licytacyi majątki i zarządzać nimi. Praktycznie mrzonki te nie mają żadnej podstawy, świadczą zaś one o tem tylko, że ziomkowie nasi w zaborze pruskim nie rozumieją nawet istotnego niebezpieczeństwa. W głowach ich ćwiekiem siedzi polityka szlachecka, która tylko w warstwie ziemiańskiej widzi jądro narodowości polskiej. Nie chcą, czy nie mogą oni zrozumieć tego, że polskość tych prowincyj zależy nie od tego, w czyim ręku będą majątki ziemskie, ale czy ludność polska stanowić będzie poważną większość. W Irlandyi anglicy przywłaszczyli sobie wszystką ziemię, pozostał wszakże lud, który narodowości swojej nie stracił, tam tylko, gdzie kolonizacya obca przyjęła szersze rozmiary — jak np. w Ulsterze — stosunki pogmatwały się tak, że rozplątanie ich natrafia na przeszkody, które chyba wreszcie potrzeba będzie rozciąć gwałtownie. Gdyby Bismark protegował w Poznańskiem landlordów niemieckich, złe nie byłoby tak strasznem, ale ponieważ nasyła on kolonistów niemieckich, niebezpieczeństwo jest tak groźnem, że wymaga natychmiastowego, wytężonego odporu. Tymczasem dotychczas nie słyszymy wcale głosów, któreby radziły wytworzenie osadnictwa miejscowego, chociaż ten środek obrony zalecają wszystkie względy. Ludność polska nie może wzrastać liczebnie, jeżeli nie będzie miała stałego punktu oparcia, który rolnikowi dać może tylko posiadanie ziemi. Dzisiaj już na dziesiątki tysięcy liczą robotników wiejskich polaków, którzy szukają pracy aż w Westfalii lub prowincyach nadreńskich. Ekonomicznie własność drobna, pomimo niesprzyjających warunków, okazuje się bardziej wytrzymałą, bardziej nieruchomą, aniżeli własność większa. Politycznie, niema chyba wątpliwości, że nawet dla posłów poznańskich zwiększenie liczby wyborców polskich jest pożądanem. Wielki bank parcelacyjny nie potrzebowałby opierać się na wątpliwym gruncie ofiarności obywatelskiej, znalazł by on łatwo potrzebny mu kapitał, bodaj nawet kapitał niemiecki, jeżeliby swego zabrakło. I ofiarność chętnie by podążyła w tym kierunku, bo byłaby pewną, że dary jej nie idą na marne, owszem przynoszą dobrodziejom niewielki, ale regularnie wypłacany procent.

Dzisiaj własność chłopska w Prusach jest również obdłużoną niepomiernie, należałoby więc iść w pomoc dotychczasowym właścicielom i wzmocnić ich stanowisko. Przedewszystkiem zaś trzeba dać chłopu polskiemu ziemię, a on broni jej potrafi skuteczniej, aniżeli „bracia starsi.“ Chłop poznański posiada już świadomość narodową, wszelka więc opieka jest dlań niepotrzebną. Zresztą na długo jeszcze pozostanie przecie na stanowisku pewna liczba „naturalnych przewodników,“ których położenie materyalne nie zmusza do pozbywania się majątków. Reszty zaś zrujnowanej lub nieopatrznej ratować nie warto, tembardziej, że w najlepszym razie ratunek przedłużyć może konanie i nie zapobiegnie temu, czem grożą rozporządzenia rządu pruskiego, nie usunie napływu osadników niemieckich. Gdyby nawet możliwem było, że ani jeden polak nie sprzeda w obce ręce ziemi, to rząd nabywać zacznie majątki niemieckie i kolonizować je — niebezpieczeństwo nie będzie wtedy mniej groźnem. Czyż to nie jest jasnem i potrzebuje jeszcze dowodzenia, że kiedy niemcy stanowić będą znaczną większość ludności, wszelkie kombinacye polityczne, wszelkie oczekiwania zmian w przyszłości — nic nie pomogą? Temu więc i tylko temu zapobiegać należy, jedynym zaś sposobem działania jest wytworzenie osadnictwa miejscowego i wogóle wzmocnienie stanowiska ludności włościańskiej. Polityka interesów chłopskich, to prawdziwie polska polityka we wszystkich dzielnicach naszego kraju, ale w prowincyach pruskich przedewszystkiem. Inteligencya poznańska zrozumieć tego nie chce, przekona się jednak wkrótce, że innej drogi niema, kiedy odjętą jej będzie możność bawienia się w wielką politykę, w protesty parlamentarne i bezcelową gadaninę o prawach poręczonych traktatami i konstytucyą. Kto wie jednak, czy przeświadczenie to nie przyjdzie za późno i strasznym wyrzutem sumienia zakłuci tylko chwilę konania życia polskiego na kresach zachodnich.

P.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Abdykacya księcia Aleksandra bułgarskiego jest już faktem dokonanym; o okolicznościach, które ją spowodowały i towarzyszyły jej, mówimy na innem miejscu. Tu zaznaczymy tylko, że w ciągu dni ostatnich książę starał się uregulować sprawy państwa, zwłaszcza zaś wojska, chociaż właściwie można powiedzieć, że raczej zręcznie splątał i tak już powikłane stosunki. Uczestników spisku rozkazał wypuścić z więzienia, ale odmówił udzielenia im amnestyi, pozostawiając to swemu następcy. Rada złożona z wybitniejszych przedstawicieli wszystkich stronnictw, zgodziła się na abdykacyę księcia i wybrała rząd narodowy, którego członkami zostali Karawełow, Stambułow, Stoiłow, Geszow i Radosławow. Wszyscy oni byli i są stronnikami ks. Aleksandra, który w naradach przyjmował udział. Rząd tymczasowy zwrócił się do Cesarza rosyjskiego z przedstawieniem, w którem prosi o życzliwość dla Bułgaryi i wskazanie kandydata do tronu, oraz podaje następujące warunki porozumienia. Reorganizacya wojska dokonaną będzie pod przewodnictwem generała rosyjskiego, ale przy pomocy oficerów bułgarskich. Konstytucya nie ulegnie zmianom i wogóle w sprawach zewnętrznych pozostawioną będzie narodowi zupełna niezależność.

Jeszcze książę Aleksander nie opuścił Sofii, kiedy już zaczęto w mieście zbierać podpisy na rzecz kandydatury księcia Oldenburgskiego, który najprawdopodobniej otrzyma tron bułgarski. Jako drugiego kandydata wymieniają księcia Leuchtenbergskiego. Cankow zaś, chociaż zostaje niby pod śledztwem, agituje na korzyść

---

jako myśl człowieka uszlachetniającego, co żywe, takaś ty prawdziwa, dobra i piękna.

W obliczu twe prawda głęboko się wryła, jako pług jasny, co wyplenia rolę i urodzajną ją czyni; ale patrz, oto dobro pełnym kłosem pokryło bruzdę wszelaką, a piękno umila bruzdy te, jako głos skowronka polnego; i oto na poorane tej roli wiosna wieczna i wieczny poranek.

Piękna jesteś, dobra i prawdziwa, jako myśl mędrca, co prześcignęła przyrodę; jako myśl człowieka, uszlachetniającego, co żywe, takaś ty prawdziwa, dobra i piękna.

Tyś podobna do krzewu rosłego, w którego cieniu z rozkoszą spoczywam, błogosławiąc gałęziom jego; ale obok ciebie ona wykwitła, jako pączek młody, którego wonią się napawam.

Tyś wyniosła i wielka, jako posąg bogini, co włada; ale u nóg twych ta powabna i miła, co kocha.

Kto zerwie pączek, ten krzew zeszpeci; kto krzew usunie, ten osłabi pączek; wnijdźcież społem do ogrodu mego!

Wyniosła postaci, tyś kamienna bez powabnej, postaci powabna, tyś bezsilną bez wyniosłej; zabłyśnijcież społem w komnacie mojej!

Oto siedzę u progu domu mego: wnijdźcież, wy, które kocham!

Słuchaj mnie, rozumu i piękności córo:

Ewo rozkoszna, nachyl ucha swego.

Wdzięcznemi piosnki nie wabiłem ciebie.

Anim dźwięczną lutnią serca twego nie otwierał;

Mową kwiatów nie przemawiałem do ciebie,

Nie posyłałem ci strojnych sług tych, ażeby przemawiały za mną wonią i barwą swą:

Jeno duszą twą ujęty, zakląłem ją, ażeby powstała jako posąg słowa; a rozkochany w piękności twojej, uczyniłem z niej poemat kamienny.

Zaświeciwszy lampę moją, poszedłem pomiędzy ludzi, wpatrywałem się w ich oblicza, a nie ujrzawszy, czego szukałem, szedłem dalej drogą.

Aż przybyłem na ów cichy cmentarz, gdzie ponad grobami uczuć moich pochylone są postacie kamienne, martwe a jednak urocze.

Jedna z pomiędzy nich powstała i zbliżyła się do mnie, a lampa moja przygasła.

Żal i rozkosz ogarnęły mnie, i usnąłem u stóp tej postaci.

Ale skoro śnić przestanę, duchu miły, czy pójdziesz ze mną, aby usiąść przy ognisku mojem?

Duma zalała serce moje, jako rzeka brzegi zalewająca; pokrywając marzenia bujne, jako rzeka ogrody kwitnące pokrywa.

Duma potargała włókna, spajające serca nasze; podobnie jak rzeka zrywa mosty, łączące osady ludzkie.

Któżby dostrzegł, że w tem sercu miłość gościła? Kto w krainie zalanej dostrzegłby pracę ręki ludzkiej?

Jednak gdybyś spojrzała w to serce dumą zdjęte, ujrzałabyś w nim obraz swój, jak zawsze; podobnie jak słońce odbija się w rzece, która brzegi zalała.

Uśmiech słońca poskramia strumienie wezbrane, osuszając krainy zalane; może poskromisz dumę moją, skoro uśmiechniesz się po nad głębiami serca mego.

Jako noc ciemna, a jednak urocza, czarna otula cię szata; czarna szata okrywa członki twe, podobnie jak noc zakrywa przyrody piękność.

Na niej klejnoty jasnym migotają blaskiem,

Nakształt gwiazd przyświecających wśród nocy;

księcia Woldemara duńskiego. Wszystkie te trzy osobistości odpowiadają zresztą najzupełniej widokom rządu rosyjskiego, może być więc nawet, że pozostawiony będzie zgromadzeniu narodowemu dowolny wybór.

Książę Aleksander zamierzał początkowo złożyć koronę w ręce „sobranja,“ które zbiera się dzisiaj (9 września), ostatnie telegramy jednak donoszą, że wyjechał już on z kraju. Podejrzenia więc, że abdykacya ma być umówioną komedyą, po której nastąpi powtórny wybór i prośby, żeby pozostał, okazały się nieuzasadnionemi.

Dzienniki angielskie umywają ręce w tej sprawie i starają się dowieść, że nie obchodzi ona zgoła rządu brytańskiego. Nie ulega wszakże wątpliwości, że Anglia będzie intrygować i stawiać rozmaite trudności. Jednym z takich wybiegów jest skłonienie rządu tureckiego, ażeby nie zgadzał się na przyłączenie Rumelii, ale pilnował warunków traktatu berlińskiego i postanowień ostatniej konferencyi. Sposobności do takich fortelów dyplomatycznych nie zabraknie, dla urządzania ich posłem w Konstantynopolu na miejsce niedołężnego Thorntona został p. White, znany nieprzyjaciel Rosyi, który w ostatnich czasach przyczynił się niemało do pogmatwania spraw bałkańskich. Niewiele on jednak potrafi zrobić w warunkach obecnych przy całej swojej zręczności.

Najjaśniejszy Pan przybył na manewry wojskowe do Brześcia, dokąd również udaje się wnuk cesarza niemieckiego — książę Wilhelm. Cesarz austryacki bawi obecnie w Galicyi i odbywa również przegląd wojsk.

Parlament niemiecki ma być wkrótce zwołany. Niemcy zaniepokojeni są tym wypadkiem, nie rozumieją bowiem, z jakiego powodu kanclerz potrzebuje współudziału „Reichstagu“ i wyrażają różne przypuszczenia. Czy nie należałoby pójść dalej i postawić sobie pytania: po co właściwie i dla kogo istnieje parlament niemiecki?

Sofia. Książę Aleksander w d. 7 września pożegnał przedstawicieli ludu i wojsko i wyjechał do Łompalanki, skąd wydał odezwę urzędową o zrzeczeniu się tronu. Przed odjazdem mianował on członkami regencyi Stambułowa, Mutkarowa i Karawełowa. Na podwórzu pałacowem zebrały się tłumy ludu dla pożegnania się z księciem, wszyscy konsulowie byli obecni przy wyjeździe.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Z NIEMIEC.

II.

Drezno, 1886, sierpień.

Liszt i Napoleon I. — Wilh. Scherer. — Zjazdy: przyrodniczo-lekarski i oryentalistów.—Bardzo stary i bardzo młody doktór. — Konkursy: belgijski i szwedzki. — Nie wszystkim żarty się udają. — Zapałki szwedzkie i muzyka.

Jeżeli oczekujecie ode mnie, jako od korespondenta z Niemiec, panegiryku Liszta, to pośpieszam z oświadczeniem, że się go nie doczekacie. Macie ich już tyle, że się znajdzicie chyba w kłopocie wyboru. Wszakże już powiedziano, że wielki mąż ten był najznakomitszą i najbardziej wpływową osobistością wieku XIX po Napoleonie I., cóż więc mam dodać jeszcze?

Zdaje mi się, że z powodu Liszta możnaby napisać ciekawe studyum obyczajowe z trzeciego i czwartego dziesiątka lat bieżącego stulecia. Może się znajdzie jaki Leporello tego Don Żuana i roztoczy panoramę pięknych i niepięknych jego ofiar; czy się ich nabierze „mille e tre,“ nie wiem, ale że ten niezmordowany wyjadacz serc wprzągł do rydwanu swojego z tuzin rodaczek naszych, które się nie ograniczyły dopijaniem wody po mistrzu i rozdzieraniem chustek od mistrzowego nosa, o tem nie wątpię.

Może się też znajdzie psycholog, który nam wytłomaczy, jakim sposobem „mistrz“ pogodzić umiał życie rozpustne z dewocyą i kapłaństwem; jakim sposobem otaczające go społeczeństwo tak łatwo go rozgrzeszało z czynów, uważanych pospolicie za niemoralne i brudne.

Przyjdzie czas, że ocenimy na zimo spuściznę po Liszcie. Zdaje mi się, że, jak po ogniach sztucznych, znajdzie się tam więcej dymu i sadzy, niż cennych pamiątek; w każdym razie nieskończenie mniej, niżeli po naszym Szopenie.

Pragnąłbym powiedzieć słówko o innym świeżo zmarłym człowieku. Ale jakże, wspomniawszy Liszta, przejść mam do tej wzmianki? Chyba w ten sposób, że miał on zaszczyt umrzeć w kilka dni po nim, dnia 6 sierpnia. Nazywał się Wilhelm Scherer, był profesorem w Berlinie, urodził się w Austryi roku 1841. Był to człowiek cichy, uczony i bardzo zdolny; żonaty zupełnie po mieszczańsku, zostawił dwoje dzieci ślubnych i pisma, o których znawcy powiadają, że mu zapewnią sławę nieznikomą. Z nich *Dzieje piśmiennictwa niemieckiego* taki sobie rozgłos zjednały, że w ciągu trzech lat (1883—1886) miały tyleż wydań; a *Przyczynki do dziejów języka niemieckiego* (drugie wydanie 1878) zawierają wskazówki nieocenionej wartości dla językoznawstwa: w nich bowiem Scherer po raz pierwszy stosuje na szerszą skalę zasadę analogii do zjawisk języka niemieckiego.

Zwrot ten stworzył epokę w lingwistyce: odtąd, drogą analizy psychologicznej, objaśniono mnóstwo zagadek językowych. Było to nie cząstkowe jakieś odkrycie, ale wprowadzenie nauki na nowe tory, przeto zwrot metodologiczny i zasadniczy, podobny naturą swą do przewrotu Darwinowskiego w przyrodoznawstwie; i tu i tam bowiem, według nowszego poglądu, przyjęto za zasadę, że nie z góry dane własności stanowią o postaci rodzajów i osobników, ale dobór naturalny, a więc ewolucya, walka o byt i nieskończone a niezmierzone wpływy otoczenia przez wieki wieków.

Pierwej już, przed Schererem, mówiono tu i owdzie o analogicznem objaśnianiu postaci językowych: ale, jak zwykle bywa w razach podobnych, nie posiadano dosyć śmiałości i przeświadczenia do bezwarunkowego przeprowadzenia pomysłu przez fakty; to też sława i zasługa należą pospolicie i słusznie nie tym, którzy pierwsi myśl szczęśliwą mieli, lecz tym, którzy ją należycie ocenić i zastosować potrafili.

Powiedziałem wyżej, iż Scherer pierwszy stosował metodę analogiczną do języka niemieckiego. Lecz nie wolno zapominać, że jednocześnie tą samą zasadą wyjaśniał zjawiska języka polskiego nasz. J. Baudouin de Courtenay; znakomita praca jego „Niektóre wypadki działania analogii w deklinacyi polskiej“ ukazała się w tomie VI zbioropisma lingwistycznego Kuhna i podpisana jest w lutym r. 1868; w tymże roku wyszło wydanie pierwsze wymienionych powyżej „Przyczynków“ Scherera.

Zdaje się, że obaj autorowie nie znali wzajemnie prac swoich i, nie wiedząc o sobie, jednocześnie wprowadzili nowy, płodny w następstwa zwrot do językoznawstwa. Dzieje lingwistyki powszechnej, mówiąc o jej najnowszej epoce, powinny obu ich wspominać, jako twórców nowego kierunku.

Ale oblicze twoje wykwita ponad smugą ciemną,

Różane, jako zorza poranna, na wschodzie powstająca:

A skoro podniesiesz rzęsy, powiadamy: oto słońce weszło!

Albowiem promienie rozchodzą się w powietrzu, i rozgrzewają się serca nasze.

Miłą jesteś, jakby świegotanie ptaszków leśnych, żywą, jakby głos ptasząt na wolności;

Skoro się zjawisz — jakby na śniegach róża wykwitła; skoro się zbliżysz — wietrzykiem wiosennym oddychamy wśród zimy.

Wejrzenie twe rozkoszą napełnia duszę, jakby źródło bijące z pod korzeni krętych — wejrzenie twe z pod brwi twych, z pod rzęsów cienistych.

Szczęśliw, wola tłum za tobą, kto zwabi do klatki ptaszę świegotające, kto zerwie różę kwitnącą!

Nie chcę wabić ptasząt, co w klatkach smutnieją i giną; nie chcę zrywać róż, co więdną uszczknięte;

Jeno zbliżywszy się do źródła, co bije z pod rzęsów twoich, spragnionem okiem pić będę wejrzenia twoje; a zrosiwszy duszę spiekłą, zaśpiewam pieśń barwną, jako łąka zroszona kwiat wydaje barwny.

Oto dłoń moją wyciągam ku tobie, ty zaś, spoglądając w duszę mą, wahasz się, jak gdybyś nad przepaścią bezdenną stanęła;

I zasłoniwszy oczy swe, trwożysz się pójść ze mną.

Ona bezdenna, ale nie jako przepaść ziejąca, ale jako harfa, w której strunach drzemie harmonia, dźwięcznie zgrzyt przykry.

Uderz w nie wprawnie, one pieśnią odpowiedzą; szarpnij je, a one jękną; zmąć je, one zgrzytną, jak po szkle żelazo.

Kto piękno tworzy, czystą ma duszę, jako kryształ jasny; dobro jedną osią, piękno drugą osią, prawda treścią duszy jego; spojrz przez ten kryształ, a świat ujrzysz cały.

Ufaj duszy mej, jako harfie ufasz; a ja zaufam tobie, jako harfa ufa dłoni mistrza.

Jako kobieta kapryśna, taką miłość ludzka; płacząc spoziera ku gwiazdom dalekim, a na serce złote, które przynoszą jej w ofierze, okiem nie rzuci.

Jednak dzielną ona, jako mąż dzielny; skorą do czynów wszelkich, a słabego ducha w moc uzbraja.

Olbrzymem w przywiązaniu swojem, kozłem w zazdrości swojej;

Nadziei pełna, jako młodzieniec kwitnący; pełna rozpaczy, jako starzec złamany;

Marząca, jako sen samotny; skrzętna w czynie, jako życie na rynku.

W sobie już niosąca poczęcia rozkosze, a razem i porodu bóle;

Z śmiertelnych każdemu znana, każdemu z śmiertelnych zagadką;

Bystra a niewidoma, niewolnicza i samowładcza; jaka kobieta, taka miłość ludzka.

Jako ptaszyna, nóżkami po ziemi krocząc, główkę ku niebiosom zwraca; tak dziewczyna młoda, lekko stąpając, oczętami w górę patrzy.

Skrzydełkami podrywając się, ptaszyna po ziemi bieży, a myśli o wierzchołku drzew zielonych; dziewczyna zaś, marząc w izdebce swej, ulatuje ku pałacom złocistym.

Wzbiwszy się w powietrze, ptaszyna rozkosznie się kołysze; dziewczyna zaś poruszając się, powabnie płynie jako fala w księżycu.

Życie umysłowe w Niemczech spoczywa zwykle przez sierpień; jest to miesiąc *per excellentiam* wakacyjny. Ale w ciągu jego układają się prace chwil przyszłych. Na wrzesień tedy zapowiedziano kilka zjazdów naukowych, z których dwa szczególnie na uwagę zasługują: 59 przyrodniczo-lekarski w Berlinie, od 16 do 24-go, i 7 oryentalistów w Wiedniu, w końcu września i początku października.

W tych dniach obchodzono 50-letni jubileusz doktorstwa znanego filozofa Zellera w Berlinie; wspomniałem wam niedawno o nim z powodu jego bytności na jubileuszu heidelberskim. Życzę czytelnikom moim, aby doczekali, gdy takimże obchodem świat uczci młodego księcia Karola Michała meklembursko-strelickiego, który parę tygodni temu w Sztrasburgu otrzymał stopień doktora prawa. Czy za lat pięćdziesiąt Sztrasburg będzie niemieckim, to wielkie pytanie: ale to pewna, że tytułu doktora praw nikt mu nie wydrze.

Pocieszające to fakta, gdy panujący uczą się i nauki popierają. Wiecie zapewne o dawniej już nieco ogłoszonym przez króla belgijskiego konkursie na napisanie najlepszej metodologii geograficznej, z nagrodą 25,000 franków; świeżo znowu król szwedzki wyznaczył po 2,250 koron za najlepsze rozprawy o dziejach języków semickich i o stanie cywilizacyi arabskiej przed Mahometem. Rozprawy mogą być napisane w jednym z bardziej znanych języków europejskich, a nawet... w arabskim; termin w połowie r. 1888.

Wszakże wolno trochę pożartować wsezonie ogórkowym? Nie mając sam pretensyi do dowcipu, pozwolę sobie pośmiać się z tych, co go jeszcze mniej odemnie mając, silą się na koncepta.

Domyślisz się, czytelniku, że mówić chcę o niemcach. Czy może być naprzykład bardziej niesmaczny dowcip, jak saski, który cudzoziemcom, mieszkającym w Saksonii, każe płacić znaczny podatek od dochodu i meldować siebie samych w policyi?

Albo taki: podczas uroczystości jubileuszowych w Heidelbergu, jakiś cukiernik, wiedząc, że na bankiecie będzie następca tronu niemiecki, posyła na wety popiersie ojca jego, cesarza Wilhelma, wyrobione z lodów, w nadziei zapewne, że syn ochłodzi się zjedzeniem nosa albo ucha cesarskiego...

W tych dniach znowu jakiś wielbiciel pięknej tancerki berlińskiej, która bardzo psy lubi, każe jej podać na scenę bukiet, w którym siedzi śród kwiatów... pudelek.

Szczytem znanych mi objawów dowcipu niemieckiego była serenada, wyprawiona przez studentów w Heidelbergu księciu szwedzkiemu, świeżo naówczas ożenionemu z księżniczką badeńską. Nie mając pod ręką odpowiedniego okoliczności wiersza szwedzkiego, grzeczna młodzież użyła do brze całemu światu znanego tekstu: „Säkerhets - tändstickor, utan svafevel och fosfor, Tände endast mot lådans plån i śpiewała pół godziny, nie dodając i nie wyrzucając ani słówka. Świadkowie naoczni opowiadali mi, że biedny adresat serenady nie wiedział, jaką ma minę zrobić na owacyę. È vero, se non è ben trovato.

Jan Karłowicz.

BADANIA NAUKOWE.

PRAWA ROZWOJU SPOŁECZNEGO.

III.

Następstwem dalszej fazy rozwojowej, według autora, będzie całkowite wyzwolenie pracy z pod stosunków najemniczych. Na podstawie równouprawnienia gospodarczego uorganizowana, już z natury swojej posiada wszelkie warunki przewagi współzawodniczącej, gdyż ma za sobą najpotężniejszą dźwignię zabiegliwości—egoizm robotnika, podczas gdy produkcyę na wyzyskiwaniu opartą pobudza do działania tylko — karność. W jaki sposób zastąpić tę ostatnią przez swobodne stowarzyszenia, wskaże prawidłowo postępujące doświadczenie. Państwo i społeczeństwo, w dobrze zrozumianym interesie własnym sprzyjać będą nabywaniu tego rodzaju nauki praktycznej, sam stan robotniczy z coraz wyższą inteligencyą i z coraz bardziej wzmagającą się samowiedzą skorzysta z każdego wypadku, dla rozwinięcia wspólnej wytwórczości i tą drogą — skoro raz przebytą zostanie nieuniknona epoka przejściowa połączonych z ofiarami prób chybionych — z każdym dniem śmielej stawiać będzie czoło konkurencyi jednostkowej. W celu uwolnienia mas od zwierzchnictwa pracodawców, nie potrzeba — jak wierzą zarówno socyaliści i zwolennicy szkoły manczesterskiej — żadnych przewrotów gwałtownych, lecz dokonać się ono może przy pomocy procesu całkiem pokojowego. Chodzi tu bowiem nie o wywalczenie praw jakichś, ale o nabycie zdolności, a wojna społeczna rozegra się nie na polu bitwy, ale w warsztacie i kantorze. Chociażby socyaliści ze stu utarczek wyszli zwycięzko, chociażby ich pułki robotnicze wstrząsnęły kulą ziemską, a przywódcy ich światu dyktowali prawa — wszystko pozostanie, jak było, dopóki gospodarstwo wytwórcze i handlowe nie potrafi obejść się bez pana."

W ślad za socyalną organizacyą pracy pójdzie wyswobodzenie sił przyrodzonych z więzów własności prywatnej. Prawo tej własności dlatego tylko i o tyle jest uznawanem, o ile praca produkcyjna bez stosunku zwierzchniczego nie jest możliwą, a własność wogóle dopóty jedynie jest w poszanowaniu, póki przynosi pożytek sprawom ogólnym. Że zaś z chwilą, w której masy pozyskają zdolność prowadzenia wytwórczości równouprawnionej, własność ziemska nietylko stanie się zbyteczną, lecz nadto będzie zawadą — pojęcie jej przeto wykluczonem zostanie z obrębu świadomości powszechno - prawnej. Za odebraną w ten sposób ziemię wypadnie całkowicie wynagrodzić właścicieli. Koszta tego wywłaszczenia mógłby albo przyjąć na siebie ogół, który posiadłby na to środki w wynikłym z całkowitego usunięcia wyzyskiwania wzroście wytwórczości i bogactwa, albo też w analogicznem zastosowaniu prawa istniejącego dla dróg żelaznych, kanałów i innych urządzeń publicznych, możnaby zmusić właścicieli ziemskich do zamortyzowania sobie wartości ziem swoich dochodami, osiągniętymi w formie renty gruntowej. „Nikt nie wątpi — mówi autor — że droga żelazna należy do tego, kto ją zbudował, a jednak w wielu państwach przedsiębiorcy kolejowi mają obowiązek drogi przez siebie zbudowane po pewnym okresie czasu, obejmującym od 50 do 90 lat, bezpłatnie oddawać na rzecz państwa. Postępowanie takie nie polega bynajmniej na tem tylko, że państwo ma władzę stanowienia przepisu podobnego, lecz raczej umotywowane jest względem, że ono jako przedstawiciel ogółu dlatego po upływie pewnego czasu ma prawo objąć w posiadanie bezpłatne, ponieważ wartość drogi żelaznej podnosi się wciąż bez najmniejszego przyczynienia się ze strony tego, który ją zbudował, ale wyłącznie wskutek wzrastającego rozwoju cywilizacyjnego, przyszła więc nadwartość ta należy do właściwego jej twórcy, do ogółu, a założyciel drogi wymaganą od niego ofiarę bezpłatnego odstąpienia po 50 lub 90 latach może okupić długotrwałem korzystaniem z nad-

---

Uchwyciłem ptaszynę, a puch miękki poddawał się palcom moim; ciepło biło z pod puchu miękkiego, owiewając palce moje.

Serce pukało w ciepłej tej ptaszynie, a poniżej skrzydła krągłym sterczały łukiem, rozmieszczając się w dłoni mojej.

Przytuliwszy zaś dziewczę młode, czułem, że ramię jej poddawało się, jako puch miękki;

Serce żywo w niej pukało, jako w ptaszynie zestraszonej; biodra jej krągłym łukiem rozmieszczały się w dłoni mojej, jako skrzydła ptaszyny.

A ciepło, bijące z młodego dziewczęcia, przechodziło w moje ramiona, na kształt ciepła ptaszyny, owiewającego palce moje.

Obrzydły mi słowa ludzkie, a śmiech ludzki zgorszył mnie.

Miasto pracy, rozmowy żądali, miasto spoczynku, pragnęli zabaw.

Zamknąłem się gniewny, przystępu nie było do mnie, i samotny byłem.

Oni zaś u innych szukali rozmowy, zabawę u innych znajdowali.

O jakżeż rychło zapomnieli o mnie, i samotność moja była jakoby żywcem pogrzebanego!

Ściany izby mej były jakoby ściany trumny, drzwi zaś jakoby trumny wieko.

I daremnie wołałem żywych; albowiem któż do grobów zaziera?

Jako człowiek spragniony, w pustyni krocząc, ochłem okiem na senne patrzy mary; podobnie spragniony wiedzy śnić począłem na jawie.

Spragnionemu woda się zjawia, jakoby kielichy z winem, zdolne ugasić żar podniebienia jego; podobnie zjawiła mi się księga stara, pełna znaków czarnych, obok zaś kobieta młoda, powabna w białości swej;

Księga i kobieta, zdolne ugasić pragnienie duszy mej.

Otwierając zaś z szelestem tajemniczym zżółkłe karty swoje, wabiła mnie księga: oto praojców mądrość podaję ci, a objaśnię ci siłę i kształty przyrody wszystkiej.

Kobieta zaś, otwierając białe ramiona swe, żywą siłą nęciła mnie, a kształty oku okazywała.

Duszę ludzką poznasz przezemnie, przyrzekała księga; w miłości poznasz ją, wtórowała kobieta.

Prądy, co nieuchwytne krążą po ciałach, rysunkiem ci objaśnię; — w uścisku mym poznasz je, odparła kobieta.

Prawdę znajdziesz na stronnicach moich;

— Jam prawdziwszą, albowiem żywą jestem!

Istotę piękna objawię ci słowem mistrzów;

— Ja zaś piękno podaję wejrzeniu twemu!

Myśmy ustami, przez które przyroda ci się objawia, szumiały stronnice;

— Ja zaś sama jestem przyrodą, odparły kobiece usta.

Wybierając tedy, zbliżyłem się do kobiety młodej: nauczaj mnie, póki młody jestem i silnem życiem żyję;

Księdze zaś odparłem: bądź ty przewodniczką starości mojej;

Starzec spragniony niechaj wodę pije; młodzieniec zaś winem ugasi pragnienie swoje.

Alfred Nossig.

wartości. Pogląd taki istotnie najzupełniej zgodnym jest ze sprawiedliwością. Wszelkie powiększenie się zaludnienia, wszelkie ulepszenie urządzeń publicznych, wszelki nowy wynalazek powodujący pomnożenie wytwórczości — pośrednio podnoszą dochody dróg żelaznych w kraju, tak samo jak to czynią w sysób bezpośredni gościńce publiczne, kanały i odnogi kolejowe. Otóż te same pobudki, lecz w wyższej nierównie mierze zastosować się dają do właścicieli ziemskich; dla nich wzrasta ludność, dla nich pracują wynalazcy, dla nich myśliciele ujawniają prawa wszechbytu, gdyż oni ze wszystkiego tego wyciągają korzyści, ze wszystkich wysiłków i postępów ludzkości na drodze cywilizacyi oni użytkują pod postacią coraz większej renty gruntowej.

Według teoryi autora ziemia wypuszczoną zostanie wtedy w dzierżawę stowarzyszeniom, do których każdy dowolnie przystępować będzie miał prawo. Z urzeczywistnionej w ten sposób bezwzględnej swobody wytwórczości, sama przez się wyniknie możliwie najzupełniejsza zgodność wszystkich interesów. Wyrównanie pomiędzy gruntem lepszym a gorszym, jak wogóle pomiędzy więcej lub mniej produkcyjną sposobnością do pracy, dokonywać się będzie drogą czysto automatyczną przez przypływ i odpływ sił roboczych. A gdy wszyscy zarówno pracować będą — bez względu, jaki kto obrał zawód i jakie zajmuje stanowisko — każdemu taka dostanie się część, jaka przedstawia rezultat z podzielenia dochodu ogólnego przez liczbę pracowników, co właśnie jest ideałem sprawiedliwości ekonomicznej.

Zaokrągliwszy w ten sposób teoryę swoją, Hertzka w księdze drugiej kreśli obraz ukształtowania się stosunków społecznych pod wpływem zasad równouprawnienia ludzkiego w tak nazwanem przez siebie państwie socyalnem. Stosunki te, to czysty raj na ziemi. Przeludnienie zniknie. Bo skoro probierzem dobrobytu nie będzie, jak dziś, posiadanie, lecz produkcyjność pracy, pod względem mnożenia się ludności przestanie istnieć sprzeczność pomiędzy interesem jednostkowym, a pożytkiem ogólnym, każda pojedyncza rodzina właściwą co do potomstwa zachowa miarę, a nauka gorliwie badać będzie środki dojścia do tego celu bez zrzeczenia się płciowego, bez szkody zarówno dla zdrowia, jak i poczucia estetycznego. Swobodna konkurencya pomiędzy producentami sprawi, że dochód z pracy wzrastać będzie bezustannie. Nikt nie będzie mógł odnosić korzyści z czysto przypadkowego faktu rozporządzania pracą cudzą; nierównie łatwiejszem natomiast, niż w warunkach obecnych, będzie utorowanie sobie drogi przy pomocy talentu i biegłości. Te same przyczyny, zdaniem autora, które pokonają proletaryat pracy ręcznej, zdziałają i to, że tak zwany proletaryat duchowy w przyszłości stanie się niemożliwym, nietylko dla tego, że i ten, kto pracuje głową wśród rozlicznych, każdemu otworem stojących gałęzi wytwórczości materyalnej, znajdzie zawsze przeciętne utrzymanie, lecz głównie z tego powodu, iż niezmierny wzrost i upowszechnienie bogactwa umożliwi i zapewni wynagrodzenie wyższych i rzadszych zasług w stopniu dziś nieznanym. „Bez szkody dla urzeczywistniającej się w nowem społeczeństwie zasady najwyższej swobody wyboru i odpowiedzialności jednostkowej — dodaje Hertzka — niewątpliwie spodziewać się należy, że ekonomiczny wpływ państwa i gminy na toż społeczeństwo będzie o wiele rozleglejszym i bardziej skupionym, niż dziś. Nie należy rozumieć tego w ten sposób, jakoby wówczas państwo lub społeczeństwo pod względem gospodarczym rozciągać miało opiekę nad jednostką."

Co do moralności, przewiduje Hertzka, że poziom jej wśród nowego porządku rzeczy podniesie się nadzwyczajnie. Tam bowiem gdzie prawo i cnota od znacznej większości żyjących wymagają bolesnych, a w wielu wypadkach nawet wprost nadludzkich ofiar — wykonywanie ich naturalnie jest rzadszem, niż tam, gdzie interes jednostkowy najzupełniej się zgadza z interesem ogółu, czyli z prawem i cnotą. W państwie socyalnem cnota nie będzie niczem innem, jak rozumnym egoizmem; szkodzenie bliźniemu stanie się bezpożyteczną złośliwością, nierozsądkiem nawet, ponieważ korzyść własna będzie doradzała popierać współzawodnika, gdyż współzawodnik ten nie będzie krzywdzicielem, lecz towarzyszem pracy.

Stanowczy przewrót też — zdaniem autora — zajść musi we wszystkich stosunkach pomiędzy obiema płciami. Podrzędne stanowisko kobiety tak w epoce barbaryńskiej, jako i w społeczeństwie nowożytnem, główną przyczynę swoją ma w bezzaradności niewieściej. Nie w tem najważniejsza kryje się różnica, że mężczyzna prawnie trzyma kobietę pod opieką swoją, ale w tem, że on inną moralność stworzył dla kobiety, a inną dla siebie. Nieraz za hańbę niezmazaną poczytuje jej to, co w nim uchodzi za dającą się wytłomaczyć lekkomyślność. W tej nierówności moralnej nie trzeba upatrywać jakiegoś systematycznego, samowolnego ucisku. Jest ona koniecznem następstwem warunków życiowych w społeczeństwie nowożytnem, warunków, które kobietę pozbawiają możności prowadzenia walki o byt własnemi siłami i czynią ją bezsilną ekonomicznie, a zatem i prawnie. Otóż to wszystko w państwie socyalnem zmieni się do niepoznania i zniknie wszelka różnica w ocenianiu wartości moralnej czynów każdej płci. Małżeństwo zyska na świętości i tkliwości, a wyborem współmałżonków rządzić będzie czyste, swobodne uczucie, niezakłócone żadnymi względami ubocznymi, konwencyonalnymi lub materyalnymi. Prostytucya, jako wytwór nędzy społecznej, przestanie istnieć, gdyż, gdzie niema kobiet, które z głodu sprzedawać się muszą, gdzie niema mężczyzn, którym współzawodnicza walka o pracę nie pozwala założyć rodziny — tam i o grzechach tego rodzaju mowy być nie może.

Ostatni rozdział książki swojej Hertzka poświęca przeglądowi historycznemu, w którym wykazuje, jak idea państwa socyalnego rozwijała się w ciągu wieków. Początków jej dopatruje w naukach Buddy, Mojżesza i Chrystusa. „Fałszem jest — powiada — uważać Chrystusa za sekciarza religijnego. Był on zwiastunem równości ekonomicznej, tym, który z zapomnienia wydobył dawne zasady społeczne judaizmu, który w czyn chciał zamienić to, co do jego czasów było głęboką tajemnicą wiary. Nie przeciwko prawu mojżeszowemu, ale za literalnem jego wykonywaniem przemawiał, — i dlatego musiał umrzeć. Okoliczność ta tłomaczy też, dlaczego najwięcej powstawali przeciwko niemu faryzeusze. Byli oni najprzedniejszą klasą wśród społeczeństwa judejskiego, zarówno pod względem duchowym jak i materyalnym, najwykształceńsi i najbogatsi zarazem. Sekciarza religijnego przekrzyczeliby może, przedyspuntowali, ale mistrza, który wypdził mienników ze świątyni, który piorunował na celników i powiedział raz, że prędzej wielbłąd przejdzie przez ucho igielne, aniżeli bogaty wstęp znajdzie do królestwa niebieskiego — takiego człowieka ukrzyżować. Rzymianie zaś, owi fanatycy własności jednostkowej i prawnego porządku posiadania, chętnie na to im pozwolili. Wypływa to dowodnie i z późniejszego postępowania rzymian względem propagandy chrześciańskiej. Wszyscy cesarzowie, którzy od Tyberyusza do Dioklecyana kazali chrześcian palić, krzyżować, dzikim zwierzętom rzucać na pożarcie — wszyscy nie gniewaliby się o boskość lub człowieczeństwo Chrystusa, o naukę dotyczącą wieczerzy pańskiej i zmartwychwstania. Nauka o równości natomiast głoszona przez chrystyanizm, jego teoretyczny i praktyczny komunizm groziły porządkowi państwa rzymskiego, a im więcej ta nauka znajdowała zwolenników, tem okrutniejszem i bardziej niemiłosiernem było prześladowanie." Przebiegłszy następnie całe dzieje ludzkości i w każdej epoce śledząc za rozwojem idei socyalnej, autor twierdzi, iż ona aż do czasów najnowszych była ekonomicznie niepraktyczną. Dopiero wynalazek maszyny sprowadził stanowczy przewrót we wszystkich warunkach bytu ludzkości. Wobec przewrotu tego maleją i znikają wszelkie rewolucye polityczne i narodowe. Podobnie jak naród złożony z rolników różni się od żyjącego z myśliwstwa, tak samo — w wyższym tylko stopniu — naród robotników maszynowych innym być musi, aniżeli ten, wśród którego pracują jedynie ręce. James Watt i Stefenson niewątpliwie tak samo staną się twórcami nowego porządku na ziemi, jak owi nieznani dobroczyńcy ludzkości, którzy wynaleźli orkę i siejbę. Dali oni początek takiej formie wytwórczości, która nie zgadza się z istniejącemi dotychczas zasadami obywatelskiemi, społecznemi i politycznemi; z konieczności cywilizacyjnej, jaką było wyzyskiwanie, zamienili je oni na zawadę cywilizacyjną. To też nadchodzi nowy okres w dziejach wszechświata, okres uorganizowanej swobodnej pracy.

Oto są główniejsze punkty wytyczne pracy Hertzki. Okazuje się z nich, że autor jest gruntownym uczonym, głębokim myślicielem, umiejącym poważniej wszechstronnie zastanawiać się nad kwestyami życia i społeczeństwa — ale, że pomimo to wszystko i on nie zupełnie jeszcze zerwał z owymi, jak nazywa, „sercowymi" uprawiaczami nauk społecznych, których na wstępie gromi.

Ad. J. Cohn.

NOWSZE BADANIA ROZWOJU MOWY LUDZKIEJ.

Od wieków usiłuje nauka rozstrzygnąć zagadnienie o początkach i rozwoju naszej mowy, oddawna stara się ona wykazać, w jaki sposób rozwinęła się w nas owa przedziwna zdolność wyrażania pojęć najbardziej oderwanych, zdolność, która zdaniem Locke'go, stanowiła o różnicy pomiędzy człowiekiem i zwierzęciem. Zagadnieniu temu, jak wszystkim prawie zagadnieniom wiedzy spółczesnej, jeszcze większą żywotność i znaczenie nadała teorya Darwina. Wobec jej twierdzeń o powolnym rozwoju gatunków, o pochodzeniu form wyższych od postaci bardziej pierwotnych, wobec zapewnień jej o ciągłości i stopniowym rozwoju zjawisk życia — niepodobna było zadawalniać się dawniejszem tłomaczeniem sprawy początków i powstawania mowy członkowanej, niepodobna było zapatrywać się na nią, jak na nadprzyrodzony dar nieba, zapomocą którego opatrzność miała oddzielić i odróżnić ulubieńca swego — człowieka od reszty stworzeń.

W czasach ostatnich niejednokrotnie napotykaliśmy próby usunięcia tej pozornej sprzeczności pomiędzy teoryą ewolucyjną i życiem. Do szeregu bardziej udatnych zaliczyć musimy dzieło d-ra Karola Frankego p. t.: *Ueber die Entwickelung der menschlichen aus der thierischen Sprache.* Poznajmy ważniejsze jego poglądy.

Źródeł naszej mowy, zdaniem autora, szukać przedewszystkiem należy w tym fakcie, iż wszystkie zwierzęta wyższe obdarzone są zdolnością, dzięki której wszel-

kie zakłócenia duchowe, będące wynikiem wzruszeń, znajdują uzewnętrznienie swe w jakiejś reakcyi dźwiękowej i że dźwięki, będące uzewnętrznieniem radości, bólu, smutku itp. jako zrozumiałe dla osobników danego rodzaju, później zaś umyślnie przez nich wydawane, stają się w końcu dla nich środkiem wzajemnego porozumiewania się. Odnośnie do tego poglądu zauważyć należy, że już wśród zwierząt ssących i ptaków napotykamy pewne takie dźwiękowe sposoby porozumiewawcze. Tak np. wiadomo, iż szczekanie i naszczekiwanie psa przybierają rozmaity odcień, stosownie do stanu uczuć, jakie przy ich pomocy zwierzę wyrazić pragnie; albo jeszcze, z niezmiernej liczby faktów, wspomnijmy tu o krzyku ostrzegającym, jakim posługują się gęsi. Co prawda, ów język zwierząt wyraża jedynie ich stany uczuciowe i ich pragnienia (akty woli); o wyrażaniu myśli i pojęć nie może tu jeszcze być mowy. Ta ostatnia zdolność cechuje przedewszystkiem człowieka. Zdaniem Frankego, rozwijała się ona w nas w taki sposób, iż mowa gestów (mimika), taka np. jaką dziś jeszcze widzimy u wielu małp, poprzedziła mowę dźwiękową. Mimice, składającej się z ruchów głowy i twarzy, rąk i nóg, towarzyszyć mogły już bardzo wcześnie pewne wykrzykniki. Że gestykulacya owa musiała poprzedzać mowę członkowaną, o tem przekonywa nas wiele faktów: niemowlęta dla wyrażenia swych pragnień, pierwej posługują się ruchami, niż słowem; dziecko wyciąga rączki do upragnionego przedmiotu, którego jeszcze nazwać nie może; ludzie, którym przyroda odmówiła zdolności mowy (głuchoniemi) posługują się ruchami; nakoniec widzimy, iż mowa gestów ustępuje coraz bardziej w miarę rozwoju cywilizacyi i że przeciwnie stanowi ona cechę znamienną plemion najpierwotniejszych. Przyłączenie się dźwięków do gestykulacyi zrozumieć łatwo: człowiek, pragnący zwrócić czyjąś uwagę na ruchy swego ciała — przywoływał współbiesiadnika głosem. Niemniej jasnem jest, iż ze wszystkich części twarzy dwie *najbardziej ruchome* — język i wargi — najlepiej nadawały się do ruchów najbardziej subtelnych, że zatem poruszając niemi, posuwając np. język już ku dziąsłom, już w kierunku zębów, jednocześnie zaś wydając różne okrzyki, człowiek doszedł do mimowolnego wytworzenia *spółgłosek*, a z niemi i pierwszych źródłosłowów (pierwiastków). Że mowa ruchów nie zawsze wystarczyć mogła, że dla zrozumienia jej niezbędnym jest użytek wzroku, że więc w ciemności np. porozumiewanie się za jej pomocą było niemożliwem, że przeto język dźwiękowy musiał wcześniej lub później ukazać się jako jej dopełnienie — o tem nie potrzebujemy nadmieniać. Takie półdźwięki — półruchy języka i warg dziś jeszcze spotkać można np. u hotentotów; dziś również istnieją jeszcze na kuli ziemskiej plemiona, którym mowa ich nie daje sposobów dokładnego porozumiewania się w ciemności. Gdy człowiek pierwotny pragnął np. wyrazić pojęcie *jeść*, to naturalnym rzeczy porządkiem, pokazywał przedewszystkiem zęby; skoro jednak wsunął pomiędzy nie język, to przy udziale odpowiedniego wykrzyknika, tworzył się łatwo ów najpierwotniejszy dźwięk świszczący (*ess-en, jeść*), którym oznaczać później zaczęto czynność jedzenia.

Rzecz jasna, iż z takiego czysto przypadkowego wytworzenia pierwszego wyrazu, skorzystała niebawem celowo i rozumnie działająca świadomość ludzka. W cieniach jaskini, w mrokach dziewiczego lasu, wśród trawy stepowej porozumiewanie się za pomocą ruchów było niezmiernie trudnem. Mimika przeto ustępować coraz bardziej musiała mowie dźwiękowej, świadomie już wytwarzanej i doskonalonej.

Przyczyn owego potężnego rozwoju naszej mowy, szukać zresztą należy i w wielu innych źródłach. Jedno z nich wskazuje nam Ludwik Noiré: jest niem wspólna działalność i obcowanie z innymi ludźmi. Tak samo jak dzisiaj niektórzy ze wspólnie pracujących rzemieślników i wyrobników — kopacze, cieśle, prządki itp. dopomagają sobie w pracy, wydając pewne rytmiczne dźwięki, tak też podobnie postępować musiał człowiek pierwotny w podobnych okolicznościach. Z biegiem czasu dźwięki owe stały się wyrazami odnośnych pojęć.

Niemniej ważny wpływ na rozwój mowy członkowanej wywierało naśladowanie dźwięków, wydawanych bądź przez naturę martwą, bądź też przez istoty żyjące. Dawniej E. B. Tylor, obecnie zaś T. Curti zwrócił na to uwagę. Przykładów takiego naśladowania przytaczać nie będziemy, są one powszechnie znane. Przypomnijmy sobie natomiast, z jaką skwapliwością dziś jeszcze małe dzieci naśladują wszystkie zasłyszane dźwięki. Ostatni z dwóch wymienionych przed chwilą badaczów zwraca nadto baczną uwagę czytelnika na to, iż wyrazy pochodzące pierwotnie z naśladowania dźwięków, traciły z biegiem czasu brzmienie swe początkowe i inne przybierały znaczenie. Tak np. sanskrycki pierwiastek *ruk* (stąd łacińskie *lux* — światło i niemieckie *licht*) musiał pierwotnie oznaczać po prostu *dźwięk*, jaki słyszymy przy pocieraniu lub uderzeniu o siebie dwóch kawałków drzewa (pierwotny sposób krzesania ognia), później zaczął służyć jak do oznaczenia pojęcia ogień, tak też i pojęć bardziej oderwanych — światło itp. Podobnie też sanskrycki pierwiastek *pu* (czyścić, reinen) oznaczał pierwotnie dźwięk, wydawany przez usta podczas dmuchania; później zaczął wyrażać czyn zdmuchiwania, np. kurzu, tj. czyszczenia.

Teorya, poszukująca źródeł mowy w naśladownictwie dźwięków, do niedawna jeszcze była przedmiotem gorących sporów. Znakomity badacz Max Muller, krytykując poglądy Darwina, wyrażał się o niej z przekąsem. Obecnie wszakże ten sam uczony powiada, iż teoryę naśladownictwa można przyjąć z pewnemi zastrzeżeniami i że tłomaczy ona pochodzenie nie źródłosłowów wprawdzie i nie wyrazów, ale materyałów dźwiękowych, z których w następstwie źródłosłowy się rozwinęły. Dalej w tworzeniu się naszego języka niepoślednią rolę odegrać musiały owe bezładne i bez myśli wydawane najprostsze dźwięki dziecinnego szczebiotu jak: mama, tata, atao, wawa, papa itp. Łatwo zrozumieć, że znaczenie tym dźwiękom nadawali sami rodzice, stąd też—gdy wśród wielkiej liczby plemion i narodów dźwięk ma-ma oznacza matkę, ta-ta zaś albo pa-pa — ojca, wśród innych znów — dzieje się całkiem przeciwnie. Nakoniec materyału budowlanego do naszej mowy dostarczają lub dostarczyły też i owe dźwięki ostrzegawcze lub głosy porozumienia, jakie tak dobrze w świecie wyższych zwierząt, jak i wśród najniższych plemion ludzkich — wielkie posiadają znaczenie.

Zwróćmy teraz uwagę na inne, z przedmiotem tym związane zagadnienia. Zadawane niejednokrotnie pytanie, czy ludzkość kiedykolwiek była całkowicie pozbawioną mowy? — rozstrzygnąć należy przecząco. Skoro bowiem u wyższych zwierząt ssących spotykamy owe różnorodne dźwięki, służące im do wyrażenia ich stanów wewnętrznych, to tembardziej stosować się to musi do człowieka. Niemniej widocznem jest, iż niepodobna ściśle określić chwili powstania mowy członkowanej: rozwijała się ona bardzo powolnie i stopniowo. Podług Geigera mowa nasza poprzedzić miała wynalazek *narzędzi*, gdyż wszystkie ich nazwy oznaczają nie materyał, z którego są zrobione, nie kształty, ale *czynność*, do spotęgowania której służą, a którą człowiek pierwej już oczywiście znać i nazywać musiał. Jednakże, jak słusznie zauważył Lippert w najnowszem swojem dziele („Kulturgeschichte,“ 1886), pogląd Gligera niewłaściwie miesza dwa różne rodzaje narzędzi: pierwotne np. kamień i pochodne albo późniejsze. Otóż przypuszczać wolno, iż narzędzia pierwotne posiadały już swe nazwy, jeszcze przed ukazaniem się mowy członkowanej i że ta ostatnia pojawiła się pomiędzy epoką używania narzędzi pierwotnych i pochodnych. W tem samem dziele Lipperta znajdujemy też przeczące rozstrzygnięcie zagadnienia o domniemanej *wspólności* pierwotnej mowy ludzkiej. Gdyby pochodzenie istniejących dzisiaj języków było wspólnem, natenczas wspólność owa odbiłaby się bez wątpienia w ich budowie. Widzimy wszakże, tak w budowie ich, jak w prawach rozwoju zasadnicze i nie dające się pogodzić różnice. Tak np. podczas gdy w jednej grupie odmiana stosunków pomiędzy pojęciami wyraża się za pomocą zmiany samogłoski pierwiastka, w innej znów grupie ten sam stosunek wyrażanym bywa przez dodanie do pierwiastka nowych zgłosek itd. W najlepszym razie pierwotna *wspólna* mowa ludzkości, jeżeli nawet istniała kiedykolwiek, musiała się składać z niezmiernie małej liczby luźnych dźwięków, służących do wyrażania bądź najprostszych stanów wewnętrznych, bądź nazw przedmiotów. Dalszy rozwój tych dźwięków, wytwarzanie się z nich mowy członkowanej odbywać się musiało rozmaicie i całkiem niezależnie — na rozmaitych punktach powierzchni ziemskiej. Umysłowość dziś istniejących jeszcze plemion najdzikszych nie wzniosła się dotąd do odczucia potrzeby wyrażania w mowie ich bądź stosunków minionych, bądź stosunków przyszłych, pamięć przeszłości i myśl o przyszłości w języku ich nie znajduje odzwierciedlenia. Czasowanie przeto (i inne odmiany wyrazów) ukazać się musiały dość późno, tj. wtedy, gdy rodzaj ludzki składał się już z rozpierzchłych i daleko od siebie osiadłych grup plemiennych, gdy przeto o jakiejś mowie wspólnej, o jednostajnem *budowaniu* języków, o jakiemś powszechnem porozumiewaniu się mowy być nie mogło. Ale nawet istnienie owej *wspólnej* mowy *zaczątkowej* zdaje się być wątpliwem. Przeciwnie, o ile pozwalają domyślać się dzisiejsze antropologiczne i etnograficzne badania, rozwój języków odbywał się drogą wprost przeciwną. Tak samo jak ludzkość cała składała się pierwotnie z pojedynczych grup rodzinnych, z których następnie tworzyły się rody, plemiona i narody, tak samo też język człowieka pierwotnego był przedewszystkiem językiem rodzinnym, zrozumiałym w obrębie jednej rodziny. Proces zlewania się, i stapiania takich języków rodzinnych w plemienne i narodowe dziś jeszcze daje się spostrzegać wśród plemion australskich i amerykańskich. Okoliczność ta tłomaczy nam to dziwne na pozór zjawisko, że w językach ludów pierwotnych spotykamy mnóstwo synonimów i homonimów pojęć konkretnych, podczas gdy niemasz tam prawie wcale wyrazów oznaczających pojęcia oderwane, jak miłość, cnota itp., pojęcia, które tylko z rozwojem uspołecznienia, z utworzeniem się większych grup społecznych powstać i rozwinąć się mogły. Tak np. w języku staroegipskim znajdujemy, podług C. Abla („O początku mowy,“ 1884) aż 37 znaków hieroglificznych na oznaczenie wyrazu *krajać*, gdy tymczasem w językach koptyckich, pochodzących od staroegipskiego, mamy takich wyrazów tylko 10. Łatwo zrozumieć, iż wobec owej różnorodności języków rodzinnych, mimika przez czas bardzo, bardzo długi, nie traciła jeszcze swego pierwotnego znaczenia i że była ona dzielnym środkiem pomocniczym w porozumiewaniu

się ludzi, należących do rozmaitych rodzin.

Jednem słowem, badania dzisiejsze oświadczają się na niekorzyść przypuszczenia jednej wspólnej pra-mowy ludzkiej; każą one raczej przypuszczać, iż z olbrzymiej ilości języków rodzinnych, cieszących się małem upowszechnieniem — rozwijała się z biegiem czasu niewielka liczba języków narodowych, z których za to każdy obejmuje większą grupę jednostek. Wobec coraz to łatwiejszych dzisiaj środków komunikacyi, przypuszczać też wolno, iż w 4 lub 5 tysiącu lat naszej ery — na całej kuli ziemskiej jeden tylko język panować będzie.

Podł. *M. Alsberga.*

LITERATURA I SZTUKA.

JAN LAM.

V.

Jest to motek nici czysto lwowskich. Jakkolwiek autor zapewnia, że dla swej powieści nie czerpał materyału z bliskiego otoczenia, odgadujemy w jego karykaturach pewne podobieństwa do osób rzeczywistych. W „Milicyi i Landweryi z uksiążęconem królestwem sokołowskiem“ odbywa się wybór „ambasadora“ do „Krachenburga.“ Dla obrobienia opinii książę Albin Skirgiełło zakłada dziennik i powierza jego redakcyę drowi Mitrędze, głupcowi i blagierowi, który przybiera sobie do pomocy młodego nauczyciela Wołodeckiego, sam zaś poluje na wysokie urzędy, kieszeń książęcą i posażną pannę. Przez pewien czas udaje mu się tumanienie „Wilkowa“ (Lwowa) pozorami wiedzy, znaczenia i majątku, powoli jednakże topnieją one i ukazują jego nicość. Skirgiełło, traktujący sprawy publiczne z kapryśną fantazyą pańską, odbiera mu gazetę; upatrzona hrabianka odmawia swej ręki; wtedy Mitręga poślubia ukochaną swego pomocnika (Natalię) a z jej teściem tworzy na oszustwie i wyzysku oparty „Bank filodemiczny,“ mający obdzierać chłopów. Po części zawiedziony w swoich rachubach, po części zrujnowany marnotrawstwem, kończy tam, gdzie, staczając się po pochyłości, skończyć musiał — w kozie. Obok niego „dziwną karyerę“ przechodzi jego doradca i zastępca w redakcyi Wołodecki, któremu on zabiera połowę skromnego fundusiku i narzeczonę, i który dobrotliwie służy mu za ofiarę a nawet od ostatecznej zguby chce ratować poświęceniem się. Dzięki szalbierstwom Mitręgi, wycierpiał wiele, musiał znosić głód i przeboleć wiarołomstwo płochej kobiety; na szczęście pokochał córkę swego przyjaciela—Maryę, skromną panienkę, i wygrał główny los na loteryi.

Czytelnik tej powieści z po za „Milicyi i Landweryi,“ a raczej z poza „Wilkowa“ dostrzeże w każdym jej wierszu tendencyę, ale ponieważ szczegółowych docinków i szyderstw nie zrozumie, więc szuka myśli autora w całości i — nie znajduje niczego więcej, prócz banalnego ogólnika, że „cnota ostatecznie tryumfuje.“ Natomiast lwowianin, znający ludzi i stosunki ośmieszone, rozkoszuje się niejedną dowcipną uwagą, niejednym ostrym przygryzkiem. W tych jedynie szczegółach tkwi wartość *Dziwnych karyer.* Bo nawet, pomimo odmiennej na pozór osnowy, zawierają one tylko przypomnienia dawnych pomysłów i zdradzają wyczerpanie się talentu. Wołodecki uwielbia naprzód kobietę, która go wabi, durzy i porzuca dla innego, a on wiernie służy jej sercem i kieszenią, chociaż poznaje jej obłudę i zwraca się z uczuciami do innej, szczerze go kochającej. Te same i w ten sam sposób rozwinięte stosunki widzieliśmy w *Głowach do pozłoty:* Moulard jest bliźniaczym bratem Wołodeckiego, Elwira takąż siostrą Natalii, a Hermina — Maryi. Jej ojciec Świakowski w znacznej części przekopiowany ze Skrzypkowicza *Idealistów.* Wszystkie figury podrzędne, cały światek próżności, plotkarstwa, czczej pychy, zadowolonej głupoty również odtworzony z dawnych motywów. Rysunek postaci mocno karykaturalny a także stara technika autora powieściowych pamfletów. W r. 1881 wyobraźnia Lama zaczęła już bezpłodnieć.

Oprócz tych większych utworów napisał on wiązkę drobnych, które wyszły (1878) pod zbiorowym tytułem *Rozmaitości i powiastki.* Są to — jak mówiono dawniej — zabawne a nieprawdopodobne „przypadki“ dziwnego ożenienia się dwu starych kawalerów, parę obrazków historyczno-humorystycznych i przeróbka z Thackeraya. Jak muza autora jest tu swawolną, dość wspomnieć, że jeden z bohaterów żeni się skutkiem nocnej pomyłki w powrocie do hotelu i noclegu w łóżku nieznanej panny, drugi zaś — skutkiem zbłąkania się kobiet, które podczas zawiei śnieżnej wjechały na dach jego domu.

Obejrzeliśmy cały dorobek literacki Lama, a jeżeli zapytamy, co on dał piśmiennictwu, odpowiedzieć możemy tylko: dał mu szereg karykatur, nakreślonych z wielkim talentem, kilka pamfletów powieściowych przeważnie miejscowego znaczenia. Zapewne znał ludzi rzeczywistych, ale ich nigdy nie przedstawiał, zapewne miewał zasady, ale je zmieniał pod wpływem nietylko prądów, ale i stosunków dziennikarskich, jakie zawiązywał. Po wspomnianem już przez nas oświadczeniu sądowem, oskarżono go, że nie jest człowiekiem idei ale najmu. Usiłował obmyć się z tego zarzutu w przedmowie *Głów do pozłoty.*

— Wszak prawda — zagadnął go przyjaciel — piszesz temu, kto płaci.

— Tak, to prawda, ale nie mogłem nigdy zdecydować się do pisania temu, kto *więcej płaci.*

Obrona ta była słuszną tylko do pewnego stopnia. We wszystkich swych przemianach Lam — jak zresztą wielu autorów polskich — zachował jedną cechę stałą — patryotyzm, nie sprzedał więc i za żadną cenę nie sprzedałby pióra swego tam, gdzieby musiał tę cechę z siebie zetrzeć. Ale na rynku polskim, dopuszczającym wszelkie różnice z wyjątkiem dążeń narodowych, poddawał się licytacyi i „pisał temu, kto więcej płacił.“ A dodać należy, że nie potrzebował zadawać sobie zbyt wielkiego gwałtu. Jak zauważyliśmy i jak sam wyznawał, należał on do zachowawczo-wolnomyślnych, liberalnych konserwatystów, czy konserwatywnych liberałów, zwolenników złotego środka, bez trudu przeto mógł się nachylić ku jednej lub drugiej stronie. Gdyby p. Lisicki zaczął głosić idee p. A. Gillera, albo p. Orzeszkowa mniemania Ziemięckiej — byłoby to odstępstwem. Ale umysły dwulicowe, wszyscy idealno-realiści, wyznawcy umiarkowanego postępu lub zastoju mają ten przywilej i korzyść, że zawsze są z sobą w zgodzie, jeżeli tylko nie zbliżą się do któregokolwiek krańca. Właściwie zatem odszczepieństwa Lama dotyczyły tylko osób. Dziś był on sprzymierzeńcem Dobrzańskiego, a jutro jego przeciwnikiem. Dla Lwowa lub Galicyi jest to „zdrada sztandaru,“ ale dla ludzi oddalonych od miejsca walki interesów jednostkowych, dla ludzi, którzy nie widzą głękokiej różnicy między „obozem“ Dobrzańskiego a Rewakowicza lub Rogosza, jest to zaledwie zmiana mieszkania i gospodarza. Z naszego więc stanowiska nie nad „handlem“ przekonaniami, który był niewinnym, ale nad tem raczej ubolewać należy, że Lam nie wzbogacił literatury ideami postępu. Był to polski „whig,“ który na wielu punktach nie zgadza się z „torysami,“ ale może i woli z nimi głosować i rządzić, gdy lewe skrzydło jego stronnictwa za daleko się posunie. Idealizuje kobietę wykształconą, ale skromnie i bez szkody dla „puszku niewieściego,“ szanuje mędrca, ale nie bezbożnika, ceni liberała, ale zostającego w przymierzu z lordami, nienawidzi próżnych i ciemnych kobiet, dewotów i wsteczników, ale bierze z nich po szczypcie dla zaprawienia natury normalnych osobników ludzkiego rodzaju. A jeżeli nawet czasem da się zbyt porwać jednostronnemu upodobaniu, pokrywa złamaną konsekwencyę — śmiechem. Bo jak tu człowieka śmiejącego się pociągać do ścisłych rachunków z logiki? On zawsze wykręci się argumentem: przecież ja żartuję. Nikt zaś nie przeciągnie granicy, która rozdziela żart od poważnego przekonania. Tym sposobem humorysta może ciągle utrzymywać się w rysach niepewnych, nieoznaczonych i zaledwie barwa ogólna jego utworów uczy nas, w jakim kierunku zwraca się głównie swą myślą i pragnieniem.

Talent Lama w najbliższem pokrewieństwie pozostaje z talentem Prusa: podobna zdolność do karykatury i szybkiego przechodzenia od niej do czułostkowej melodramatyczności, podobna słabość do rozwiązywania zagadnień polityczno-społecznych i opierania twierdzeń na okruchach statystycznych, podobna natura humoru opisowego, podobna wreszcie fizyognomia Janusowa, w której twarz liberalizmu jest nieco większa od zachowawczej. Ale jeżeli Lam znacznie przewyższa Prusa śmiałością i zakresem satyry, we wszystkich innych wymiarach jest od niego niższym. Głowacki nie zagrzązł tak głęboko w sprawach czysto miejscowych, nie rzuca pocisków tak osobistych, nie śmieje się tak przymusowo, posiada w swym umyśle więcej filozoficzności i daleko więcej artyzmu i poczucia prawdy. Postacie przez niego stworzone są niemal łudząco żywe, u humorysty lwowskiego — prawie zawsze cudaczne. Prus pisze wytwornie, a przynajmniej bardzo starannie, Lam był jednym z najniedbalszych autorów w literaturze polskiej. Pomijając błędy spowodowane robotą kawałkową, jego język ciężki, ubogi, nadziany mieszaniną obcych nalotów z całego świata, woła o pomstę do stylistyki. Okresy olbrzymie, przeładowane zdaniami nawiasowemi, rozciągają się czasem na całych stronicach. Słowa takie jak: *knieskowany, falliment, memorować, sistować, kopulować, sfingować, ekspostulować* itp. należą w jego języku do najzwyklejszych, wyrażenia, rusińskie, węgierskie, niemieckie, splatają się z łacińskiemi, francuskiemi, angielskiemi, żydowskiemi, tureckiemi i tworzą miejscami prawdziwą Babel.

Zamykając to wspomnienie wnioskiem ogólnym, powiemy, że natura stworzyła Lama pięknem i wrażliwem zwierciadłem, które życie naprzód wgięło, potem rozbiło i z odłamków porobiło drobne lusterka dla karykaturowania śmieszności miejscowych.

H. A.

„DUCHIŃSZCZYZNA.“

Oddawna już głośne sprostowanie i stanowcze wyparcie się dziwacznej teoryi Duchińskiego było potrzebą i obowiązkiem naszej godności umysłowej. Teorya ta bowiem, spotkawszy się ze zrozumiałą dla niej wrażliwością, wsiąkła w naszą krew, przeniknęła nasze pojęcia naukowe i polityczne, ustrugała nam szereg niedorzecznych pewników, których niewzruszona powaga długo była szanowaną. Podjął to zadanie i spełnił je ze zwykłą mu ostrością

prof. dorpackiego uniwersytetu, Baudouin de Courtenay w broszurze p. t. „Z powodu jubileuszu prof. Duchińskiego“ (Kraków, 1866).

Jak wiadomo, Duchiński rozwinął całą fantazyę naukową z tego założenia, że wielkorosyanie, czyli „moskale,“ nie należą do słowian, ani nawet do aryów, lecz do szczepu turańskiego na równi z innemi plemionami mongolskiemi, tatarskiemi itd. Od reszty Europy odgranicza ich Dniepr, Dźwina i „rzeczki Finlandyi.“ Cechami turanizmu — według niego — mają być: osobna forma rządu, komunizm, koczowniczość, mała liczba miast itd. Otóż prof. Baudouin, sprawdziwszy każdą z tych cech, wykazuje, że żadna z nich nie stanowi wyłącznego znamienia wielkorusów i nieraz daleko silniej występuje u „aryów,“ dowodzi, że maligna Duchińskiego była naprzód niedorzeczną, a potem wielce dla nas szkodliwą. „Polacy — powiada on — nie mogą mieć swoich Bismarków, nie powinni też mieć swoich Hartmannów... nie mogą się bawić w „grande nation,“ więc też i szowinizm polityczny powinien im być obcym. Wszędzie jest on wstrętnym, ale opierając się na armatach i bagnetach, ma przynajmniej realną podstawę... P. Duchiński należał do tych ludzi, co w ciągu wielu lat pracowali nad ogłupianiem inteligencyi polskiej, nad zawracaniem jej głowy, nad mydleniem jej oczu, nad odwracaniem uwagi od rzeczy niezbędnych i istotnych, a zwracaniem jej na mrzonki; skutkiem czego było bawienie się w halucynacye polityczne, a następnie tracenie sił na żebraninę o „interwencyę,“ na narzucanie się ze swoją aryjskością dla sformowania krucyaty przeciw Rosyi... Skutkiem tego wreszcie była sama w sobie bezcelowa awantura polityczna, mająca jedynie na celu za pomocą „męczeństw“ wywołanie litości w Napoleonach i innych szarlatanach politycznych i sprowadzanie ich „interwencyi“—i to wszystko kiedy?— wtedy właśnie, kiedy dane były wszystkie warunki po temu, aby się swobodnie, wszechstronnie, po polsku rozwijać.“

Jeśli autor utrzymuje, że tego rodzaju fantastyczne wywody, jak Duchińskiego, były przyczyną „mimowolnych koczownictw“ polaków z Rosyi i obecnie z Prus, że „wszystkich tych koczownictw *nie byłoby*, gdyby nie rozmaite, w głowach zawracające „teorye,“ wychodzące od lat kilkudziesięciu włącznie z obozu owych zachodnio-europejskich koczowników polskich,“ to niewątpliwie przecenia wpływ co najmniej Duchińskiego.

Broszura prof. Baudouina zawiera wiele śmiałych i ciekawych uwag, o których w tej notatce nawet wspomnieć nie mogliśmy.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Bigos bułgarski z sosem polskim.—Dawniej a teraz.—Gotowanie kaszy przy cudzym i swoim ogniu. — Bezczelna komedya najmitów. — Głupia Europa na grzbiecie byka. — Łatwowierność tej naiwnej niewiasty. — Fotografia chłopa szlązkiego ze strony wdzięcznej.— Taniec z cieniem. — Nowe apteki dziennikarskie. — Powodzenie znachorów. — Ostatnia ucieczka.

Książę bulgarski nazywa się „awanturnikiem *polsko*-niemieckim,“ sympatya niemców dla niego przypomina najrozpustniejszej utrzymance z pół-światka prasy berlińskiej „uczucia dla polaków przed 50 laty,“ naganę polityki Bismarka ze strony opozycyi wiąże ta ladacznica z obronami polaków w parlamencie, wypowiedzianemi przez Windhorsta i Richtera — słowem, że bigos bułgarski pojawia się na stołach dziennikarskich z sosem polskim. Sos ten jest nam oddawna znany, bo od lat wielu służy jako przyprawa do różnych potraw kuchni politycznej. Od chwili, gdy kanclerz niemiecki poradził, ażeby po za złowrogimi wypadkami *chercher le polonais*, nie było wątpliwości, że jego lokaje, strzelcy i wyżły wszędzie nas wytropią. Zwietrzyli nas i „wystawili“ w Bułgaryi, bo 1) Battenbergi mają ćwierć krwi polskiej, 2) na dworcu lwowskim dziecko „nieudeterminowanej narodowości“ podało mu bukiet. Każdy z nas, kładąc się spać, nie przypuszcza, że nazajutrz rano obudzi się posiadaczem akcyi w jakiemś przedsięwzięciu politycznem, od którego dywidendę wypłaci mu rzetelnie główny bank berliński *Nordd. Allg. Ztg* i jego po całej Europie rozrzucone filie. Doprawdy byłoby to zjawiskiem naturalnem, gdyby śród nas odrodziła się ginąca rasa marzycieli, układających niezmordowanie łamigłówkę p. t. „równowaga Europy.“ Polak tu, polak tam — wszędzie polak, czyż on nie może uwierzyć, że nawet losy Wybrzeża pieprzowego są splecione z jego losami, kiedy mu tę myśl organy urzędowe w głowę wbijają? Dawniej, ile razy gdziekolwiek na kuli ziemskiej zakipiało, mówiliśmy: i my do tego ognia powinniśmy dostawić swój garnek. Potem, bądź sparzywszy sobie palec, bądź nie zagotowawszy swojej kaszy, zaniechaliśmy wędrówki po cudzych ogniskach i zaczęliśmy rozpalać i rozdmuchiwać własne. Teraz już chyba tylko nieuleczalnego maniaka możnaby przekonać, że niepodobna połknąć Bośnii „bez dotknięcia Polski,“ że wogóle nasze arterye nie wiążą się tak ściśle z arteryami całego świata. I oto właśnie teraz organy „wysoko i nisko urzędowe“ starają się wmówić w każdego gila, że polak wyrasta nawet tam, gdzie niesposiany, że jak robak objada liście i wygryza korzenie najwspanialszych dębów, że jak kret wkopuje się we wszystkie ogrody, że stanowi ciągle straszną i niszczącą siłę... Czemu *Nordd. Allg. Ztg* jeży swe kudły, udając bojaźń i ostrzegając przed niebezpieczeństwem? Czy istotnie dojrzała przy naszych stopach pazury a w szczękach kły? Czy podstępnie próbuje nas wciągnąć do walki? Czy rada by w nas wskrzesić obumarłe złudzenia? Nie, nie my jesteśmy celem kłamstw i pokuszeń gadzinowego gniazda. Ani my dla nikogo straszni, ani względem siebie tak naiwni, ażebyśmy uwierzyli w potęgę naszej niemocy. Nie, cała ta komedya odgrywa się dla „Europy.“ Chyba „Europa“ dosyć nasłuchała się bajek o „polskich intrygach,“ ażeby im jeszcze przy każdej sposobności nadstawiała uszy. Jeżeli z Bułgaryi zrobiono zlew najrozmaitszych mętów politycznych, to nawet kropla szumowin polskich weń nie padła. Dlaczemużby tam krzyczano: *cherchez le polonais*...

...Pewnego dnia pruski minister rolnictwa Lucius przyjechał na Szlązk. Gr. Zeidlitz-Trützschler przy obiedzie odkrył mu szczególną tajemnicę, że miejscowy lud został skrzywdzony potwarzami i nie jest tak złym jak go przedstawiono. Wkrótce potem zawzięcie nieprzyjazna nam *Beuthener Ztg* wystąpiła z gorącą obroną osławionych. „Nie ma może ludu — mówi ona — o którym by wydano tyle krzywdzących i niesprawiedliwych sądów, co o ludzie polskim w Górnym Szlązku. Wszystkie wady i błędy, jak: gnuśność, ciemnota, przebiegłość, lekkomyślność, pijaństwo i tym podobne nie cnoty jemu tylko mają być właściwe. A jednakże trudno byłoby znaleźć lud poczciwszy i spokojniejszy. Sądy zaś takie, uwłaczające całemu zacnemu plemieniu (!), wydają osoby wcale do tego niepowołane, które z nim rozmówić się nie mogą, a przeto niczego mu objaśnić ani wytłómaczyć, ani przedstawić nie umieją.“ Ponieważ biskup wrocławski Dieppenbrock miał powiedzieć: „jakże chętnie odjąłbym palec od swej ręki, gdybym tylko mógł rozmówić się z tym poczciwym i szlachetnym ludem polskim Górnego Szlązka w jego ojczystym języku,“ więc *B. Ztg.* radzi „wyższym stanom,“ ażeby się nie narażały na gotowość do takiej ofiary i przyswoiły sobie język polski. Nie warto pytać, kto rozgłaszał te krzywdzące wieści, ale warto zapytać, skąd nagle tyle i tak zajadłym prusakom podobał się „poczciwy lud szlązki?“ Jest on jeszcze w zwierzyńcu potrzebny, bo teraz odbywa się tylko polowanie na grubszą zwierzynę — na szlachtę — potrzebną przy wyborach. Przyjdzie i na niego pora, wtedy będzie inaczej wyglądał! Tymczasem odfotografowano go ze strony wdzięcznej.

Jak zwykle, dla rozgrzania się po zimnych i coraz zimniejszych kąpielach w rzeczywistości, za przykładem operowej Lunatyczki tańczymy z rozmaitymi cieniami. Codzień prawie ten lub ów poczciwiec wymyśli jakiś projekt, który powtarzamy, rozbieramy, chwalimy, zawieszamy wysoko, potem niżej i niżej, aż wreszcie on gdzieś przepada całkiem zapomniany. Jest to właśnie taniec z cieniem — z pismem przemysłowem, które ma zaradzić biedzie, lub też ze specyalnym organem malarskim, który znowu podniesie poziom krytyki artystycznej. Po największej części wszystkie te projekty przypominają ową fabrykacyę armat, w której „bierze się dziurę i oblewa się spiżem.“ Dziur mamy niezliczoną ilość, tylko spiżu nam brak. Organu malarskiego nie posiadamy, ale kto go będzie czytał — i pisał? Wyznaję, że w Warszawie nie widzę ani jednego gruntownego krytyka w tej dziedzinie; widzę tylko frazesowiczów, ludzi obznajomionych z tajemnicami techniki, bezmyślnych chwalców i równie bezmyślnych dojeżdżaczów, którzy śmiało trzaskają harapem — ale wszystko to nie stanowi jeszcze spiżu dla armaty. Że są ludzie, którzy mniemają inaczej i oczekują od tej myśli wielkich skutków — wcale się temu nie dziwię. Przed kilku dniami umarł w Warszawie znahor, pokątny doradca medyczny, który cieszył się ogromną praktyką. Śmiano się z naiwnych pacyentów jego niesłusznie. Bo co mają robić nieszczęśliwi, których wiedza lekarska po wyczerpaniu wszystkich środków opuściła? Czy powinni zrzec się wszelkiego ratunku i filozoficznie oczekiwać śmierci? Trudno od nich tego wymagać, trudno brać im za złe, że zwracają się do świętych lub znahorów z błaganiem o pomoc. Nic nie tracą, a siłą samej ufności zyskać mogą. Otóż podobnie trudno brać za złe naszemu społeczeństwu, że nieraz opuszczone przez swoich najrozumniejszych lekarzy, słucha rady owczarzów, że chwyta się byle promyka nadziei, byle projektu. Ono żyć chce koniecznie— a to daje mu nietylko moc chwilową, ale nawet zdrowie.

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Przemysł domowy i koziołki naszej logiki. — Brak szczerych chęci. — Nowe rozporządzenie. — Jasny wniosek. — Niegrzeczna rzeka. — Umiejętność inżenierska w Łomży.

Od lat dwóch domowy przemysł włościański znajduje — jak się u nas mówi — „troskliwe poparcie“ i zwraca na siebie „baczną uwagę.“ Wprawdzie „troskliwe poparcie“ powierzyliśmy Towarzystwu zachęty przemysłu i handlu, którego członkami są przeważnie przedstawiciele wiel-

kiego przemysłu fabrycznego, naturalnego współzawodnika i wroga produkcyi drobnej, „baczna uwaga“ zaś ogranicza się na wzmiankach reporterskich tego rodzaju, że jakiś Stasiek z Wólki wyrabia bardzo ładne zapalniczki ze słomy, lub że Magdalena z Rudki utkała bardzo gustowną serwetkę. Jeżeli myśliwi mają zostać członkami Towarzystwa opieki nad zwierzętami, to dlaczegóżby fabrykant nie mógł opiekować się drobnym przemysłem, lub obywatel ziemski — interesami drobnej własności. Jest to logika tego samego gatunku, chociaż z pozoru nie wygląda tak dziwacznie. Każdy przedsiębiorca, jeżeli nie jest filantropem, zamierzającym zbankrutować dobrowolnie, musi starać się o to, żeby nabywać pracę po najniższej cenie, jest więc prostym interesem dlań, ażeby podaż pracy była jak największa. Tymczasem my temu fabrykantowi lub obywatelowi ziemskiemu każemy opiekować się przemysłem domowym, który daje robotnikowi pewną samodzielność i pozwala mu podnieść cenę pracy. Czy podobna więc przypuścić, że rozsądny kapitalista zechce współdziałać w tym kierunku, że będzie szczerze popierał przemysł domowy, tembardziej, gdy wierzy on święcie, iż interesy wielkiego przemysłu i wielkiej własności stać zawsze powinny na pierwszym planie? Nic więc dziwnego, że opiekunowie produkcyi domowej w najlepszym razie będą wspierali te tylko jej gałęzie, które nie znajdują wcale współzawodnictwa fabrycznego i o tyle, ażeby zajęcia domowe zatrudniały jedynie nadmiar rąk. Kiedy pisma codzienne najgłośniej trąbiły o potrzebie zaopiekowania się przemysłem włościańskim, jakiś obywatel z płockiego wystąpił w *Gazecie warszawskiej* z naganą dla tej „szkodliwej gadaniny,“ która gdyby się urzeczywistniła, podniosła by cenę najmu w gospodarstwie wiejskiem. Obywatel ten, ze swego punktu widzenia, miał zupełną słuszność.

W wielu okolicach naszego kraju przemysł domowy zatrudnia sporą liczbę rąk i produkcya jego przedstawia znaczną wartość. Ale przemysł ten nie ma ani „troskliwego poparcia,“ ani nie zwraca na siebie „bacznej uwagi,“ które zajęte są popieraniem wyrobów, stanowiących właściwie zabawę, nie zaś poważne zajęcie. Nawet ludzie dobrych chęci, którzy biorą do serca sprawę przemysłu domowego, starają się głównie o nauczenie włościan nowych zajęć, jak np. koronkarstwa, plecenia koszyków itp. nie myślą zaś bynajmniej o podtrzymaniu istniejącej wytwórczości włościańskiej. Usiłowania te nie mają zwykle charakteru poważnego, jeżeli zaś przybierają rozmiary szersze — jak np. wyrób grzebieni na Kurpiach, są one właściwie *domową formą* przemysłu fabrycznego.

Zanim mówić zaczniemy o popieraniu przemysłu włościańskiego, a tembardziej zanim istotnie robić coś zaczniemy, powinniśmy zbadać przedewszystkiem stan jego i poznać warunki, w jakich znajduje się obecnie. Dotychczas pod tym względem uczyniono bardzo mało, ograniczono się bowiem na rozesłaniu kwestyonaryusza. Od czasu do czasu tylko w pismach prowincyonalnych zjawiają się obszerniejsze wzmianki, które dają chociaż ogólne pojęcie o tej sprawie. *Gazeta lubelska* zamieściła właśnie krótki artykuł p. t. *Przemysł drobny w gubernii siedleckiej*. Na Podlasiu, zwłaszcza w jego zachodniej części, przemysł włościański utrzymuje się dotychczas dosyć pomyślnie. Włościanki i szlachcianki powszechnie zajmują się tkactwem i wszystkie części odzieży z wyjątkiem obuwia i czapek wyrabiają się w domu. Są całe wsie zamieszkałe przez sukienników, potomków osadzonych przed laty w okolicach Węgrowa, Miedzny i Kossowa kolonistów, ale ta gałąź przemysłu upada, ponieważ w pobliżu kolei włościanie chętnie kupują „modne“ kapoty tandetne. Cała gmina Domanice, w powiecie siedleckim, wyrabia rozmaite przedmioty z drzewa, w innych zaś okolicach gubernii obfitujących jeszcze w lasy, włościanie zajmują się bednarstwem, kołodziejstwem i tokarstwem. W Sokołowie, Żelechowie i Garwolinie mieszczanie wyrabiają obuwia i kożuchów za 250,000 rs. rocznie, chociaż teraz współzawodniczyć muszą z towarem rosyjskim. W Żelechowie stolarze produkują proste sprzęty, rozwożone na sprzedaż po jarmarkach; w Łosicach mieszczanie trudnią się uprawą ogórków. W Holubli i Gródku znajdujemy zdunów, w Kiełpińcu stelmachów, w Wyszkowie, Starej wsi, Łochowie i Sadownem — tokarzy, w Woli korytnickiej i Łochowie— nożowników, w Baczkowie — siekierników, w Witankach — obrabiaczy kamieni młyńskich i żarn. W Rykach żydówki sprzedają wiele robót szydełkowych do sklepów warszawskich, w Baranowie szyją kożuchy. We wschodniej części gubernii przemysł domowy mniej jest rozwinięty, ale i tutaj są wsie, a nawet całe okolice, których mieszkańcy oprócz pracy rolnej oddają się innym jeszcze zajęciom np. w gminie Romanów jest około 600 warsztatów tkackich.

Artykuł *Gazety lubelskiej*, jest, że tak powiem, tylko pobieżną notatką topograficzną, ale takich nawet wiadomości braknie nam o innych okolicach kraju. Nie daje on jednak żadnego pojęcia o warunkach, w jakich istnieje przemysł domowy: ani o organizacyi jego, ani o dochodach robotnika, ani nawet o ogólnej sumie produkcyi. Nie będzie wszakże przesadą, jeżeli wartość tej ostatniej ocenimy na 2—3 miliony rubli rocznie. Może w innych stronach kraju przemysł domowy nie jest tak rozwinięty jak na Podlasiu, bądź co bądź jednak wytwarza on rocznie rozmaitych przedmiotów na kilkanaście a może na kilkadziesiąt milionów rubli. Tę, tak poważną pozycyę w budżecie narodowym, pomijamy zwykle w naszych rachunkach, chociażby więc z tego względu przemysł domowy zasługuje na zbadanie szczegółowe. Przed rokiem pisma doniosły, że któreś z towarzystw naukowych rosyjskich wysyła do kraju naszego specyalną komisyę w celu zbadania przemysłu włościańskiego. Dotychczas komisyi tej nie widać, ale za to Towarzystwo geograficzne petersburskie przygotowuje wyprawę naukową etnograficzną do Królestwa, której członkowie zbierać mają również dane ekonomiczne. My o poznaniu własnego kraju nie myśleliśmy długo, niedawno dopiero postanowiliśmy coś zrobić w tym kierunku, ale wciąż jeszcze chodzimy brzemienni wielkimi zamiarami, a raczej poroniliśmy niedonoszony płód ich — *Wisłę*, której niedługo zapewne pożyje. Honor narodowy nie pozwala na założenie filii Towarzystwa petersburskiego, ale nie wiem co zyska ten honor i interesy nasze na tem, że zamiast filii mieć będziemy specyalną wyprawę Towarzystwa geograficznego. Jestem może zbyt niepojętny, ale, doprawdy, nie widzę w tem żadnego zysku—przeciwnie; chociaż i wyprawa przyniesie bezwątpienia pewną korzyść, gdyż dostarczy materyału, którego my sami zbierać ani umiemy, ani chcemy...

W Rosyi np. szczegółowe zbadanie stanu przemysłu domowego dokonanem zostało w znacznej mierze usiłowaniami osób prywatnych. U nas również grono przyrodników stara się poznać kraj i praca ich jakkolwiek drobną i ułomną wydać się może, postępuje jednak. Nauczyciel botaniki wyjeżdża na wakacye i w ciągu lat kilku przygotowuje opis flory, dajmy na to, powiatu biłgorajskiego lub mławskiego. Zbadanie przemysłu domowego w granicach jednego powiatu dokonanem być może podczas wycieczki letniej, nie wymaga zaś ono ani specyalnego przygotowania, ani pracy zmudnej, ani dokładności takiej — jak przedmiot zajęć botanika. Opisujący stan przemysłu domowego może wcale nie mieć ani technicznego, ani nawet specyalnego ekonomicznego wykształcenia, dosyć będzie, jeżeli dokładnie zapisze to, co widział własnemi oczami lub o czem dowiedział się od osób wiarogodnych, jeżeli w przybliżeniu obliczy ilość rąk roboczych i wartość produkcyi, co bynajmniej nie jest trudnem, nie chodzi bowiem wcale o drobiazgową ścisłość w tym względzie, byle jak najdokładniej obrachowaną była produkcya oddzielnego robotnika i warunki jego pracy.

Pisaliśmy już poprzednio, że wybory na wójtów gmin poddane być mają ściślejszej kontroli, głównie w celu niedopuszczenia do urzędu tego osób, nie związanych niczem z interesami miejscowymi, posiadających jednak mniemane tytuły własności osad wiejskich. Obecnie ministeryum spraw wewnętrznych zaleciło, ażeby w każdej gminie ułożoną została lista imienna osób, mających prawo być wybranymi. Listy te, zaświadczone przez komisarza i naczelnika powiatu odczytywane będą na zebraniu gminnem, przed przystąpieniem do wyborów, zażalenia na nieprawidłowe ułożenie listy wnosić należy do naczelnika powiatu....

Dotychczas trwające jeszcze upały stanowią prawdziwą plagę dla miast prowincyonalnych, w których przepisy o porządku są taką samą formalnością policyjną, jak. . w Warszawie. *Dziennik łódzki* w jednym numerze przytacza aż trzy wiadomości o naruszeniu przepisów, mających na celu ochronę zdrowia publicznego i opis każdego wypadku kończy wykrzyknikiem: „a komitet sanitarny?“

Komitet sanitarny? Ano śpi zapewne, a może „przepadł bez wieści“ w tych strasznych czasach, kiedy giną nawet rzeczy nieruchome. Oto np. w Berdyczowie pewnej nocy zginęła rzeczka, nosząca charakterystyczną nazwę Gniłopiatki. Niefortunny strumyk, obficie zasilany dopływem przeróżnych nieczystości, sprzykrzył sobie taki stan rzeczy, zapragnął użyć czystego powietrza pól i przerwawszy groblę, zwrócił się w stronę przeciwną od miasta. Wskutek tego wybryku stutysiączna ludność Berdyczowa pozbawiona jest wody, co nie byłoby jeszcze wielką klęską, ponieważ płyn, pod tą nazwą czerpany z Gniłopiatki, był prawdziwą trucizną, gorzej jednak, że wyschłe łożysko rzeki przepełnione różnymi odpadkami i zlewami jest wielkim zbiornikiem zarazy. Miejscowi technicy i inżenierowie łamią sobie głowy nad tem, w jaki sposób skłonić niegrzeczną rzekę, aby wróciła do dawnego koryta — dotychczas jednak niczego wymyśleć nie mogą.

Taki sam kłopot mają koledzy ich w Łomży. W mieście tem przy ocembrowaniu studni oberwała się ziemia i zasypała żywcem dwóch robotników. Ponieważ w poprzek studni położone były belki i deski, można było spodziewać się, że nieszczęśliwi zostaną ocaleni, trzeba było tylko prędko odkopać ziemię. Kopano w ciągu dwóch dni, ale tak nieumiejętnie, że zasypywano jeszcze grubszą warstwą pogrzebanych, wreszcie powagi miejscowe zadecydowały, że cała robota potrwa przynajmniej ze 6 dni — czas zupełnie dostateczny, ażeby pogrzebani umarli nietylko z braku powietrza ale i z głodu, albo, że lepiej jeszcze będzie sprowadzić jakiego inżeniera z Warszawy. W Łomży musi być przynajmniej kilku inżenierów i techników. Za co pobierają oni pensye i co umieją, jeżeli nie potrafią odkopać w ciągu kilku dni zasypanej studni, kiedy przy energii i umiejętnem pokierowaniu robót, można dokonać tego w ciągu kilku godzin. Takie niedołęstwo winno być napiętnowane właściwem mianem — występku, może nie po-

dlegającego karze, ale zasługującego na jak najsurowszą naganę opinii.

Szanownemu korespondentowi, który mi zarzuca, że mówiąc o wyradzaniu się fizycznem ludności polskiej na podstawie sprawozdań o poborze do wojska, nie uwzględniłem kilka ważnych bardzo okoliczności — odpowiadam tu tylko słów kilka: „Cherlackie plemię żydowskie" na znaczenie tych cyfr nie ma żadnego wpływu, dane bowiem, dotyczące żydów-rekrutów, zbierane są oddzielnie. Przyznaję natomiast, że „chęć uwolnienia się od wojska wszelkimi sposobami" gra tu może pewną rolę, ale nie tak wielką, jak sądzi korespondent. „Miliony (?) kałmuków, samojedów" itd. nie wpływają również na to, co statystyka wykazuje—że należymy do narodów najmniej oświeconych. Procent piśmiennych w Królestwie niższy jest niż w Cesarstwie, bardzo mało zaś większy niż w Rosyi azyatyckiej. Nie „w połączeniu" więc z samojedami i żydami, ale we własnej osobie jesteśmy tak słabi umysłowo i fizycznie. Trzeba to sobie powiedzieć otwarcie, chociażby dla tego, żeby z przesadną pychą nie traktować Bogu ducha winnej „czerni tatarskiej," która, nawiasem powiedziawszy, więcej może liczy umiejących czytać i pisać i więcej stosunkowo szkół posiada, aniżeli my. Przewidując, że słowa te ściągną na mnie nowy zarzut nieuwzględnienia okoliczności, dodam tu jeszcze, że ludność tatarska większość szkół utrzymuje swoim kosztem, co i my uczynićbyśmy mogli, gdybyśmy szczerze chcieli.

J. Nieborski.

CUDZE GŁOSY.

Agencya północna podaje w telegramach przemowę księcia bułgarskiego, w której ten oświadcza, iż składa koronę:

„Przez lat siedm pracowałem dla dobra i niepodległości Bułgaryi. Troska moja poświęcona była zwłaszcza armii i oficerom. Tych ostatnich uważałem za swą rodzinę, za swe dzieci. Byłem o siebie bezpiecznym, ile razy widziałem się otoczonym przez oficerów, którzy byli moimi towarzyszami w walkach naszych o sławę Bułgaryi (przy tych słowach zapłakał książę). Gdy w owej smutnej nocy usłyszałem wrzawę, zapytałem przedowszystkiem, czy jest moje wojsko? Odpowiedziano: tak! To mnie uspokoiło, gdyż wierzyłem w moją armię. Pomimo wszystkich nieszczęsnych przejść nie rozczarowałem się do moich oficerów. Stanęli oni na wysokości położenia podczas zamętu, który nastąpił po moim wyjeździe. Dzięki Popowowi i Mutkurowowi (tu uściskał książę obu) honor oficerów bułgarskich został uratowany; widzę ich znowu dokoła siebie, oddanych mi, wiernych. Mogę opuścić Bułgaryę z pochwałą na ustach dla nich. Porządek nie będzie zakłócony. W jakichkolwiek znajdę się okolicznościach, poświęcę wpływ mój na usługi Bułgaryi i będę za nią modlił się do Boga. Duszą moją będę zawsze obecnym w kole moich oficerow. W końcu niepodobna mi nadal pozostać w Bułgaryi, ponieważ Cesarz rosyjski sobie tego nie życzy, ponieważ dłuższy mój pobyt w Bułgaryi naraża interesa kraju. Jestem przymuszony opuścić tron (tutaj zawołał Popow: Byliśmy, jesteśmy i będziemy zawsze z księciem! Odwagi! Naprzód!). Książę rzekł dalej: Zanim odjadę, pragnąłbym zasięgnąć zdania wyższych oficerów i ustanowić regencyę, która starałaby się zabezpieczyć ich los na każdy wypadek. Cokolwiekbądź nastąpi, liczę na armię!

Agencya północna ogłasza tekst odezwy pożegnalnej, wydanej przez księcia bułgarskiego w dzień odjazdu.

„Przekonawszy się o smutnej prawdzie, że odjazd mój z Bułgaryi ułatwi przywrócenie dobrych stosunków pomiędzy Bułgaryą i jej oswobodzicielką Rosyą — i otrzymawszy od rządu Cesarza rosyjskiego zapewnienie, że niezależność, wolność i prawa naszego państwa pozostaną niewzruszone, oraz, że nikt nie będzie mieszał się do spraw księstwa—oznajmiam ukochanemu narodowi, że zrzekam się tronu bułgarskiego, pragnąc dowieść wszystkim, jak drogie mi są interesa ojczyzny za niezależność której gotów jestem złożyć w ofierze wszystko a nawet to, co mi jest droższem nad życie. Wyrażając serdeczną wdzięczność narodowi za jego wierność okazaną mi tak w dniach szczęścia, jak i smutku, od chwili przybycia mego do Bułgaryi, wyjeżdżając z księstwa, do końca dni moich modlić się będę o zachowanie Bułgaryi, ażeby została wielką i silną, szczęśliwą, jednolitą i niezależną.

Ustanawiam regencyę w osobach Stambułowa, Mutkurowa i Karawełowa. Rozkazuję wszystkim obywatelom bułgarskim ulegać rozkazom regencyi przezemnie ustanowionej i zachowywać w kraju spokojność, ażeby nie komplikować i tak już trudnego położenia spraw ojczyzny. Niech Bog zachowa Bułgaryę!

Dan w rezydencyi Zofii 26 sierpnia (7 września) 1886 r.

„Aleksander."

Norddeutsche Allgemeine Zeitung widzi, rozumie się, „polską rękę," która popycha do opozycyi różnych „reichsfeindów" w prasie niemieckiej:

„Te owacye pochodzenia polskiego powinny osłabić w każdym rozsądnym niemcu współczucie dla ks. Aleksandra i doprowadzić do przekonania, że jeżeli polacy z takim zapałem witają księcia, to w jego osobistości musi być coś nieprzyjaznego dla państwa niemieckiego. Należy spodziewać się, że entuzyazm polski oświeci naležycie rolę liberałów i ultramontanów, którzy rozpoczęli kampanię dziennikarską w obronie księcia bułgarskiego. Wszyscy pamiętają, z jaką gwałtownością pp. Richter i Windhorst napadali na politykę narodową rządu w sprawie polskiej i z jaką energią stanęli po stronie wrogów państwa. Teraz powtarza się to samo widowisko. Liberalni i ultramontanie idą razem z polakami przeciw narodowej, zewnętrznej polityce rządu; podówczas gdy polacy urządzają owacye księciu Aleksandrowi w Galicyi, dzienniki liberalne i ultramontańskie prowadzą w jego sprawie propagandę w Niemczech, występując w roli zaciętych wrogów Cesarstwa."

Dalej zaś, odpowiadając dziennikowi Reichsboten „gadzina" berlińska tak syczy:

„Utrzymujemy w mocy nasze twierdzenie, że ci ludzie (ultramontanie i wolnomyślni) w nienawiści swojej do państwa niemieckiego przed żadnym środkiem się nie cofną, aby zakłócić nasze przyjazne stosunki z Rosyą i niebezpieczeństwo wojny sprowadzić na Niemcy. Ideałem ligi ultramontanów, polaków i welfów jest państwo polskie albo welfickie; mniejsza o to, czy takowe dałoby się urządzić w łonie państwa niemieckiego, czy obok tegoż. Wolnomyślni, walcząc przeciw państwu, pragną obalić kanclerza; zmienią oni swą politykę, gdy ks. Bismark przestanie być najwyższym urzednikiem Cesarstwa. Do owej chwili wszakże nieprzyjaźń ich zagraża państwu, zarówno jak nieprzyjaźń innych wrogów, nienawiść przeciw kanclerzowi zaślepiła ich bowiem zupełnie."

PRASA ROSYJSKA.

Nowosti otrzymały z Wiednia od swego korespondeta taki telegram:

„Pewny wybitny mąż stanu niemiecki, jak dowiedziałem się z najwiarogodniejszego źródła, powiedział z powodu owacyj urządzonych przez polaków lwowskich dla przejeżdżającego ks. Aleksandra co następuje: „Widać ze wszystkiego, że ks. Aleksander rości teraz pretensye nietylko do tronu bułgarskiego, lecz i do korony polskiej. Wszakże przyjdzie mu rozczarować się, ponieważ wątpić należy, ażeby cesarstwa powierzyły przywrócenie spokoju na półwyspie Bałkańskim emisaryuszowi polskiemu."

Nowoje Wremia znowu, owacyom lwowskim nie nadaje wielkiego znaczenia i zapomina o „intrydze" wobec „chytrości Albionu."

„Czy może przemowy czarujących polek nadały śmiałości zrzuconemu władcy Bułgaryi, i tam we Lwowie postanowił on powierzyć losy swoje kierownikom kontrrewolucyi bułgarskiej? Czy przemówiło w nim tak silnie uczucie pokrzywdzonej miłości własnej, gdy się znalazł na wolności, iż żądza otrzymania zadośćuczynienia jakiegokolwiek za doznane ubliżenie zmusiła go do odezwania się na pierwsze wołania z Bułgaryi, i, otrzymawszy upragnione zaproszenie od Stambułowa, już się nie zastanawiał nad skutkami kroku swojego? Nic podobnego w rzeczywistości nie było. Demonstracye nie wywarły szczególnego wrażenia na księciu, upadłym na duchu, i, jakkolwiek nieprzyjemnie było wracać do siebie bez korony i nawet bez generalskiego munduru, książe Aleksander udał się był ze Lwowa do rodzinnego swego Darmsztatu. Któż wreszcie dawał natchnienie urzędzicielom kontrrewolucyi w Bułgaryi? Nie lud bułgarski, nie bułgarskie drużyny, które wszystkie, z wyjątkiem tak zwanej gwardyi, przysięgę złożyły przed rządem tymczasowym. Skądże i z czyjej ręki pochodzi impuls fatalny? Podług naszych informacyj, książe Battenberski po swoim do Austryi przyjeździe odebrał list odręczny królowej Wiktoryi; on natchnął księcia do czynu... Angielskie dyplomacya znowuż działała w Bukareszcie i Filipopolu... W Bukareszcie, jak powiadają, zrzucony książe otrzymał zapewnienie, iż rząd angielski postanowił jakoby sprzeciwiać się wszelkiemu mieszaniu się czynnemu Rosyi do spraw bułgarskich..."

Moskowskija Wiedomosti piszą:

„Dnia 28 sierpnia, około godziny 3 popołudniu książe Battenberg wyjechał z hotelu w Lwowie, w towarzystwie swych braci i świty na stacyę kolei żelaznej. Na dworcu zebrało się mnóstwo publiczności, a tak peron jak i platforma były całe zasiane kwiatami. Stały tam deputacye z laurowymi wieńcami, przeplatanymi wstęgami. Na wstęgach widniały napisy, takie np. jak: „zwycięzcy z pod Śliwnicy", „bohaterowi słowiańszczyzny" i t. p. Wszystko to zapowiadało, że polska inteligencya Lwowa przygotowuje większą jeszcze manifestacyę aniżeli poprzednie. Widocznie władze austryackie zrozumiały, jak nie na swojem miejscu są podobne wybryki i że polska klika nietyle dba o urządzenie owacyi księciu Battenbergowi, który zresztą ma mało z polakami łączności, ile o urządzenie demonstracyi anti-rosyjskiej. Z tego też względu policya lwowska otrzymała polecenie usunięcia powodów do nowych owacyj. Naczelnik policyi lwowskiej, pan Krzaczkowski, który w wigilią dnia tego przedstawiał się księciu, musiał pomimowoli popsuć plany swych współziomków. Jedynym środkiem było skierować powozy księcia na inny dworzec kolei. Tak też zrobiono. Księcia Battenberga usadowili w wagonie pociągu nadzwyczajnego, który natychmiast ruszył po drodze żelaznej czerniowieckiej. Na dworcu tym publiczności było bardzo niewiele i owacye były bardzo słabe. Tym sposobem publiczność zgromadzona na wielkim dworcu odeszła z niczem. Mówcy nie mogli wygłosić swych oracyj, a członkowie deputacyj pocieszyli się tylko tem, że postanowili wieńce posłać do Zofii.

„Lepiej daleko wypadła dla księcia Battenberga dalsza podróż po Galicyi, gdzie na każdej stacyi kolei spotykały pociąg polskie deputacye. Gdzie tylko pociąg się zatrzymał, książe Battenberg ukazywał się w oknie wagonu, deputacye wręczały mu wieńce, publiczność wołała „niech żyje" i z uniesieniem przeprowadzała pociąg. W Stanisławowie, gdzie pociąg zatrzymał się minut 10, na czele deputacyi przybył miejscowy burmistrz dr Kamiński, i wygłosił cały potok uprzejmości i wszelkiego rodzaju życzenia. Dostojnemu przedstawicielowi polskiej miejscowej inteligencyi zdawało się widocznie, że bierze udział w maskaradzie i ubrał się w polski ubiór narodowy. Członkowie deputacyi byli również w kontuszach i konfederatkach. Książe dziękował po polsku, oświadczając, że sympatye jego będą zawsze po stronie narodu polskiego. Publiczność tak była uradowana wyrażeniami, któ-

rych książe Battenberg użył przy podziękowaniu, że w godzinę jeszcze po odejściu pociągu, który uwiózł księcia, obecni wołali: „niech żyje!“

„Podobne owacye urządziła polska inteligencya w Kołomyi i innych miejscowościach“.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Ciekawa statystyka. Jeden z szan. abonentów naszych przesyła następującą notatkę:

Na podstawie M. A. Tołpygina: *Jeżegodnik po sacharnoj promyszlennosti ros. imp.* 1884/5 (Kijów 1886), zestawiłem dane, dotyczące ilości wyższych urzędników w cukrowniach (dyrektorów, pomocników dyr. chemików, mechaników i buchalterów), krajowców i obcokrajowców. Przy wyliczaniu obcokrajowców opatrzyłem posiadających nazwiska polskie znakami zapytania.

Dane te wykazują, iż podczas roku kamp. 1884/5 w 42 cukrowniach Królestwa w liczbie 188 wyższych urzędników jest 59 zagranicznych poddanych, czyli 31,4%, a mianowicie:

31 + 9 (?) niemieckich poddanych t. j. 16,5%+3,7%

8 +8 (?) austryackich poddanych t. j. 4,3%+4,3%

i 2 +1 (?) poddanych innych państw t. j. 1,1%+0,5%.

Na pewno zatem pracuje w cukrowniach Królestwa w sferze urzędniczej cudzoziemców:

Niemców	16,5%
Austryaków	4,3%
Z innych państw	1,1%
Razem	21,9%

W 130 cukrowniach gub. Wołyńskiej, Kijowskiej i Podolskiej w liczbie 584 wyż. urz. fabrycznych jest 129 zagranicznych poddanych, tj. 22,1%, a mianowicie

27 + 8 (?) niemieckich podanych t. j. 4,6%+ 1,4%

33 +40 (?) austryackich poddanych t. j. 5,7%+ 6,8%

i 21 poddanych innych państw, czyli 3,6%.

Cudzoziemców zatem (niepolaków i nierosyan) na pewno:

Niemców	4,6%
Austryaków	5,7%
innych	3,6%
Razem	13,9%.

Zobaczymy, co w roku przyszłym dane statystyczne nam powiedzą i o ile mniej niemcy et consortes osładzać nam będą nadal życie.

Szczepienie wścieklizny. W ciągu dwóch miesięcy dr. Bujwid w mieszkaniu swem lub w klinice przy szpitalu wolskim leczył 44 osoby pokąsane przez psów wściekłych. Chorzy przeważnie przybywali z prowincyi. Dotychczas wszyscy leczeni znajdują się w pożądanym stanie zdrowia, znaczną większość ich można uważać za wyleczonych stanowczo. Rezultaty więc są bardzo pomyślne, ale cała pracownia, wymagająca znacznych nakładów, zostaje wciąż na wyłącznym koszcie d-ra Bujwida.

Zakaz. Władza wojskowa zabroniła żołnierzom pruskim czytania jakichkolwiek pism polskich, oraz wielu niemieckich, bądź to katolickich, bądź postępowych i socyalistycznych.

Usiłowanie rabunku. W Mińsku nieschwytani dotychczas złoczyńcy usiłowali wysadzić w powietrze część domu, w którym znajduje się kantor Banku państwa, ażeby podczas zamieszania zrabować kasę.

Obfite plony. Na zasadzie ustawy przeciw socyalistom, skonfiskowano lub zakazano w Niemczech 948 książek i pism i rozwiązano 246 stowarzyszeń. Tak obfity plon świadczy jednak, że i zasiew musiał być staranny.

Wsparcia. Rządy gubernialne w Królestwie otrzymały upoważnienie do udzielania zapomóg najbiedniejszym rodzinom wygnańców pruskich. Wsparcia wynosić mają od kilkunastu do kilkudziesięciu rubli, będą one jednorazowe i bezzwrotne.

Trzęsienie ziemi nawiedziło również Amerykę północną, w niektórych okolicach, jak np. w Karolinie południowej było ono tak silne, że całe miasta runęły w gruzy.

Nielogiczne rozporządzenie. Zawiadowcy stacyj mają obecnie wydawać podróżnym, którzy się spóźnili i nie wykupili biletu — kwity z księgi sznurowej. Co ma na celu ten przepis — zrozumieć trudno, bo wycięcie kwitu z księgi więcej zabierze czasu, aniżeli wydanie biletu, w dodatku zaś podróżny szukać jeszcze musi zawiadowcy.

Wyrób zapałek będzie opodatkowany, na sprowadzane zaś z zagranicy nałożone zostanie dosyć wysokie cło.

Przemysł łódzki. Pomimo skarg na zły stan interesów, okazuje się, że fabryki łódzkie produkują coraz więcej tkanin. Pewne wskazówki daje w tym względzie statystyka kolejowa. W r. 1881 przeciętny tygodniowy wywóz tkanin z Łodzi wynosił 21,000 pudów, w 1882 — 24,000, w 1883 — 27,000, w 1884 — 28,000, w 1885 — 30,800, w roku bieżącym zaś wywóz doszedł do 38,000 pudów tygodniowo.

Ludność gubernii wołyńskiej w r. 1885 wynosiła 2.140,490 osób, w tej liczbie prawosławnych 1,590,088, żydów 295,918, katolików 174,881, protestantów 91,389, braci czeskich 14,520 itd.

Ludzie przedhistoryczni. W pobliżu miasta Namur w Belgii, znaleziono w jaskini dwa szkielety, zupełnie podobne do odkrytych poprzednio w Neanderthale. Oprócz tego było w jaskini mnóstwo obrobionych krzemieni, ozdób z kości słoniowej, naszyjników malowanych na czerwono itd. Przedmioty te wskazują, że rasa ludzi, których szkielety znaleziono w Neanderthale i obecnie w okolicach Namuru, nie stała na tak niskim stopniu rozwoju umysłowego, jak to twierdzono, opierając się głównie na budowie ich czaszki.

Zmarli. Wład. Emil Śmietański, zdolny kompozytor muzyczny.

— Andrzej Grabowski, wyborny malarz-portrecista.

— Karol Maszkowski, prof. politechniki lwowskiej.

— Fr. Schouselka, jeden z wybitniejszych publicystów wiedeńskich.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. Gustawowi Kr. Tytuł główny był omyłką drukarską, a dla czego taki opis ma być gorszym od bajki o Numie i Pompiliuszu lub o nieszczęśliwym Wojtku, nie rozumiemy. Ten wzgląd, że coś już opowiadano gdzieindziej, nie może być racyą do pomijania, gdyż w takim razie o wszystkich wypadkach tygodniki musiałyby milczeć. Pańskie lekceważenie wiadomej powiastki bardzo nas cieszy, bo skoro ona mogła być pomieszczona w najznakomitszym dzienniku niemieckim a nie podobała się Panu w *Prawdzie*, to znaczy, że przynajmniej część naszych czytelników ma większe wymagania, niż niemieccy.

P. H. N. Ginc. Słownik, Gramatyka (mniejsza) Małeckiego, *Historya literat.* Kuliczkowskiego.

P. St. Pr. Jeżeli Pan włada tylko językiem polskim, oprócz powszechnie znanych podręczników, nic innego w tych przedmiotach wskazać nie możemy. Z niemieckich dzieł najlepszą usługę oddałaby Panu *Geschichte des Alterthums* Dunckera. Spółka nakładowa wkrótce wyda Socyologię Gumplowicza.

Stał. prenum. M. M. Słownik, gramatyka i czytanie pisarzów wzorowych.

P. Fl. w Mir. Tego już nie podejmujemy się odgadnąć, czy owe pisma wierzą w cud częstochowski, czy nie wierzą.

Ogłoszenia.

Prenumeratorzy „PRAWDY“ otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 29 Августа 1886 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.